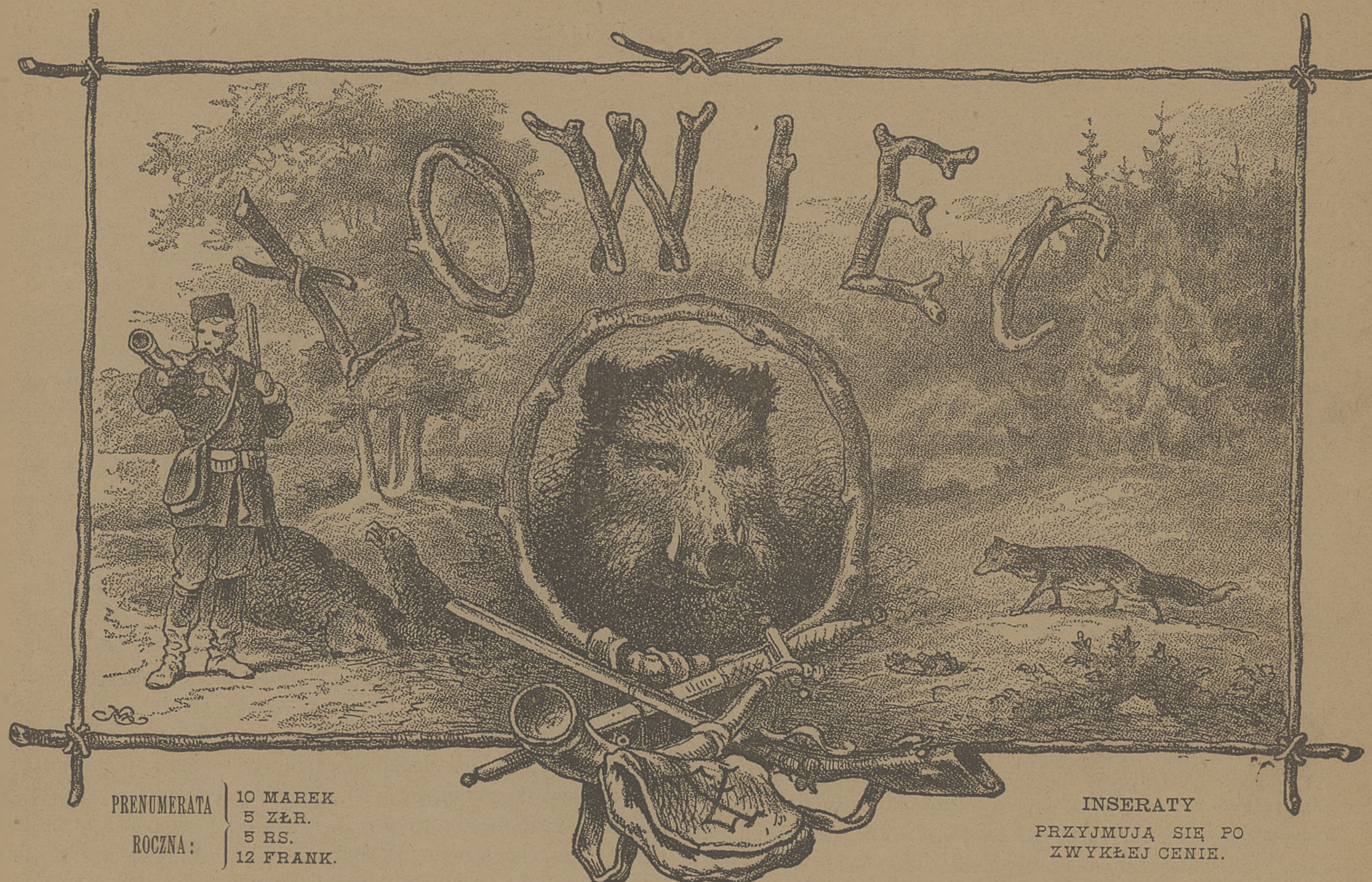
Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1881. Rok IV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

W Marcu b. r. wniósł Wydział gal. Towarz. łowieckiego następujące podanie:

Do Wys. c. k. Namiestnictwa we Lwowie.

Galicyjskie Towarzystwo łowieckie, zawiązane głównie w celu podniesienia jednej z ważnych gałęzi gospodarstwa krajowego, mianowicie łowiectwa połączonego z rybołowstwem, używa wszelkich środków, aby dążeniu jego rychłe i pomyślne odpowiedziały skutki. W ciągu swego prawie pięcioletniego działania starało się to Towarzystwo szerzyć, zwłaszcza Pismem swojem, w kraju praktyczne i naukowe wiadomości z zakresu tak ścisłego łowiectwa, jakoteż w ogóle przyrodnictwa, usiłowało ubezwładnić lub wcale usunąć dawne błędne mniemania, szkodliwe zwyczaje, nieuregulowane i nieracyonalne zajmowanie się łowiectwem, a szczególnie skierowało uwagę swoją na wszelkie złe wpływy, które do niedawna jeszcze podniesieniu łowiectwu i racyonalnemu rozwojowi jego stawały w drodze. Sądzimy, iż nikt zaprzeczyć nie może, że działanie Towarzystwa łowieckiego już w tym krótkim czasie istotne przyniosło korzyści, stało się to w skutek gorliwych starań jego, niemniej też w skutek chętnego poparcia ze strony Władz tak rządowych jakoteż autonomicznych, bez którego poparcia usiłowania nasze byłyby i będą nadal bezskutecznemi.

Obecnie jedyną zawadą w pomyślnym rozwoju racyonalnego łowiectwa w kraju widzimy w poskromionem wprawdzie znacznie, ale jednak do dzisiejszej chwili wielką szkodę przynoszącem kłusownictwie. Szerząc ono zgubne swoje działanie wbrew Ustawie i wbrew karności należnej Władzom krajowym, szerzy zarazem bezprawie i demoralizacyę, które z całą surowością i energią karane i tępione być powinny.

Na tej podstawie popieramy najusilniej prośbę wniesioną do Wysok. c. k. Namiestnictwa dnia 24 Stycznia b. r. przez Komitet c. k. Towarzystwa gospodarskiego, a wniesioną w skutek nalegań Oddziału Łańcucko-Jarosławskiego i innych Oddziałów Towarzystwa gosp., w której wyrażono życzenie, iżby Wysok. c. k. Namiestnictwo raczyło polecić c. k. Starostwom szybki i surowy wymiar kary za wszelkie przestępstwa kłusownicze. Prośbę tę Komitetu c. k. Towarzystwa gosp. jakoteż nasze poparcie jej uważamy za zupełnie uzasadnione, dochodzą do nas bowiem nieustannie wiadomości z kraju, czego wyrazem jest pismo nasze „Łowiec“, iż nie wszędzie i nie zawsze kłusownictwo bywa przez Władze rządowe z równą surowością i energią, jako wykroczenia przeciw prawu, karcone i tępione. Gdybyśmy chcieli poprzeć to twierdzenie dowodami, musielibyśmy zbyt liczne przytoczyć z „Łowca“ zapiski naszych myśliwych, którzy dokładnem opisaniem rzeczy, wskazaniem miej-

scowości i własnoręcznym podpisem orzeczenia swoje stwierdzali.

Nie wątpimy, iż Wys c. k. Namiestnictwo raczy rzecz przez nas w niniejszem piśmie przedłożoną zbadać, i na mocy własnego rozpatrzenia się w niej zarządzić, iżby odtąd prawo łowieckie w kraju naszym było ściślej przestrzegane i szanowane.

Wiadomo nam, iż przestępstwa kłusownicze nie zawsze i z niemałą trudnością mogą być sprawdzone, że przeto często winy jawne, ale niedostatecznie udowodnione, nie mogą nawet przez najgorliwszą i najsprężystszą Władzę miejscową być surowo ukarane. Aby temu złemu zaradzić, ośmielamy się podać środek według naszego przekonania bardzo pożądany i skuteczny, który jedynie może uwierzytelnić wobec Władz świadectwo popełnionego czynu kłusowniczego, i ułatwić tymże Władzom karcenie i tępienie tyle szkodliwego dla łowiectwa, tyle demoralizującego zwłaszcza lud nasz kłusownictwa. Środkiem tym jest zaprzysiężenie całej straży lasowej w kraju naszym. Środek ten uważamy za szczególnie w tej mierze zbawienny i skuteczny, podniesie on bowiem nie tylko funkcyę straży lasowej niejako do godności przysięgą uświęconego urzędu, ale nadto nada świadectwu złożonemu przez taką straż znaczenie i wartość dowodną i prawie nietykalną.

Wydział Towarzystwa łowieckiego ośmiela się tedy prosić: Wysokie c. k. Namiestnictwo raczy zwrócić uwagę właściwych Władz i organów na okoliczność, że zeznanie chociażby tylko jednego, zaprzysiężonego dozorcy lasowego lub polowego stanowi przeciw kłusownikom zupełny dowód, z drugiej strony zaś poruczyć w sposób, jaki za stosowny uzna, właścicieli polowania, jak skutecznem a tem samem pożądanem jest zaprzysiężenie straży lasowej i polowej celem zapobieżenia kłusownictwu.

Zresztą oddajemy tę sprawę Wysokiemu c. k. Namiestnictwu z całą ufnością, iż wszelkie zarządzi kroki, aby ustawy łowieckie ściśle przestrzegane i szanowane, wykroczenia zaś przeciw nim były bezzwłocznie i sprężyście dochodzone i najsurowiej karane. Takiem zarządzeniem najskuteczniej poprze Wys. c. k. Namiestnictwo nasze gorliwe usiłowania pomnożenia i rozkrzewienia w tym kierunku dobra powszechnego w kraju naszym.

We Lwowie dnia 17 Marca 1881.

Z Wydziału Towarzystwa łowieckiego.

Dr. Michał Gnoiński,
viceprezes Tow. Łow.

Władysław Zontak,
sekretarz.

Na to podanie otrzymuje Wydział Tow. łow. następną odpowiedz:

14572.

Udziela się Szanownemu galic. Towarzystwu łowieckiemu na ręce Sekretarza Towarzystwa Wgo Pana Władysława Zontaka we Lwowie

odnośnie do szacownego pisma z dnia 17go Marca 1881 roku L. 11. do wiadomości z uprzejmem wezwaniem, by zechciało wspierać Władze powiatowe w wykonywaniu Ustaw ku zapobieganiu kłusownictwu, zawiadamiając je o wszystkich faktach przekroczenia ustaw, doszłych do wiadomości Szanownego Towarzystwa.

Lwów dnia 5 Września 1881.

W zastępstwie

Mandyczewski.

Z c. k. Namiestnictwa.

L. 14572.

OKÓLNIK

do wszystkich Panów c. k. Starostów.

Wedle doniesienia Komitetu galicyjskiego Towarzystwa gospodarczego, nie przestrzegają Panowie Starostowie z należytą sprężystością istniejących przepisów ku powstrzymaniu kłusownictwa tak, że przestępstwa tego rodzaju nie bywają należycie i doraźnie karane, naturalnie z niemałą szkodą dla majątku krajowego. Wprawdzie niezapoznaje Namiestnictwo skutecznej działalności kilku Panów Starostów, w których powiatach skutki sprężystego wykonywania Ustaw niezaprzecznie się okazały, jednakowoż ogólny wynik nie można nazwać tak pomyślnym, jak tego ważność sprawy wymaga. Jakkolwiek karanie kłusowników nie należy do kompetencyi władz politycznych, posiadają Panowie Starostowie dostateczne środki, ażeby zapobiegać kłusownictwu i niedopuszczać pojawienia się tego rodzaju przestępstw, a przynajmniej zmniejszyć ile możności ilość takowych; mianowicie ścisłe przestrzeganie postanowień patentu o broni z 24 Października 1852 Dz. pr. p. Nr 223, Ustawy z 30 Stycznia 1875 r. Dz. u. kr. L. 16, której zastosowanie przypomniano Panu okólnikiem tutejszym z 29 Sierpnia 1879 r. L. 7370/pr., patentu łowieckiego z 28 Lutego 1786 r., wreszcie licznych przepisów co do wydzierzawienia prawa polowania na gruntach gminnych, musi niezawodnie doprowadzić do pożądanego wyniku. Powołanym powyżej okólnikiem z 29 Sierpnia 1879 r. L. 7370/pr. przypomniano Panu również rozporządzenia Prezydyum Namiestnictwa z dnia 26 Stycznia 1873 r. L. 5105 i z dnia 27 Grudnia 1874 L. 9070, mające na celu zachowanie należytej oględności przy wydawaniu i odnawianiu kart na broń, tudzież przepisu §. 18. patentu o polowaniu; wobec przytoczonego powyżej doniesienia, widzi się Namiestnictwo ponownie spowodowanem zalecić Panu Staroście treść tego okólnika do zastosowania się z wezwaniem, abyś tak osobiście jakoteż przez swe podwładne organa pilną zwracał uwagę na tę ważną gałęź administracyi i tym sposobem starał się położyć stanowczą tamę tego rodzaju bezprawiom. Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że ustalenie dowodu winy jest w licznych wypadkach wobec przebiegłości kłusowników i wobec używanych przez nich środków ku zatarciu śladu przekroczenia, połączone z trudnościami; w tym względzie zwraca się uwagę Pana na przepis §. 52. Ustawy lasowej i §. 28. Ustawy o ochronie własności polnej, według których prywatna straż lasowa, mogąca być również użyta do dozoru polowania, może być na żądanie właściciela lasu zaprzysiężona, zaś straż polowa tak na obszarze gminnym jakoteż na obszarze dworskim powinna złożyć przysięgę; jeżeli te postanowienia ściśle będą wykonane i jeżeli prywatni właściciele lasów, należycie pouczeni, przedstawią swych leśnych do przysięgi, natenczas zadanie Władzy politycznej w kierunku zapobiegania kłusownictwu, znacznie będzie ułatwione, albowiem wrazie przydybania przestępcy przez zaprzysiężonego strażnika, zeznanie tego ostatniego z odwołaniem się na przysięgę służbową stanowi w myśl §. 426. p. pr. kar. zupełny dowód winy. Rozumie się samo przez się, że w wypadkach, w których zarządzone przedwstępne dochodzenia okazały, iż ukaranie przekraczałoby zakres działania Władzy powiatowej, należy akta odstąpić bez zwłoki dotyczącemu Sądowi do właściwego zarządzenia.

Lwów dnia 5 Września 1881 r.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

26 Lutego. Niedziela. — Udaliśmy się na nabożeństwo do kościoła ormijańskiego, poczem na wezwanie naszego gospodarza poszliśmy w odwidziny do tutejszego biskupa. Przyjął nas w sali obszernej, ale odznaczającej się anachoretycznem urządzeniem. Biskup jest w średnim wieku, nadzwyczaj pięknych, rzec można klasycznych rysów twarzy, form gładkich i bardzo wykształcony, po francusku mówi jakby paryżanin. Zadziwił mnie głęboką znajomością wszystkich stosunków europejskich i trafnością zapatrywań na obecny stan Turcyi. Po półgodzinnej wizycie u niego, powróciliśmy na śniadanie, jak zawsze obfite i bardzo urozmaicone najróżnorodniejszymi, nie znanymi nam wschodnimi przysmaczkami. Potem poszliśmy widzieć odbywające się tu co Niedzieli igrzyska dzirytowe. Jeśli nasza stara Europa chwali się zamiłowaniem sportu, to zdaniem mojem sport prawdziwy, chociaż w innych formach, bardziej kwitnie na Wschodzie. Sportsman europejski wytrenowawszy dobrze swego biednego angielskiego konia, przemieniwszy w sztuczny sposób to nieszczęsne zwierzę w szkielet pokryty skórą, zmieniwszy tak jego estetyczne kształty, wsadza nań dżokieja w stroju, którýby chyba małpie mógł być do twarzy. Z trybuny przypatruje się przez binokle, jak to przez niego przekształcone zwierzę o długość czasem kilku cali wyprzedza swego współzawodnika. Te kilka cali różnicy przynoszą czasem właścicielowi konia znaczne zyski pieniężne. I to jest sport? Nie — to jest gra giełdowa, tylko w innej formie. My, zarozumiali Europejczycy, twierdzić śmiemy, iż Arabowie nie umieją konno jeździć, bo nie jeżdżą wedle naszych sportsmańskich teoryi. Kto widział grę dzirytów, tę sprężystość i zwinność i koni i jeźdźców, tę ich dzielność, zręczność i odwagę, ten do innego musi dojść przekonania, jeśli go tylko zarozumiałość nazbyt nie zaślepia. Przepraszam dzisiejszych naszych sportsmanów, jeśli śmiem wypowiedzieć zdanie, że oni swoje konie niejako tylko platonicznie miłują, wiele o nich mówią i rozprawiają, ale mało na nich jeżdżą. Radbym ich widzieć w takiej grze dżirytów, ileżby to koni bez jeźdźców po błoniach bujało!.... Smutno powiedzieć, ale nasi sportsmani teraźniejsi najodważniej i najsilniej dziś siedzą na fotelach w loży kasynowej lub przy stoliku kwindecza. Jakże różnym od tego sportu, jest sport na Wschodzie! Igrzyska dzirytowe są jednem z najciekawszych widowisk, jakie mi się widzieć zdarzyło. Na obszernych błoniach piaszczystych nad rzeką Syhan, tuż za miastem, liczne tłumy w jaskrawych, malowniczych strojach otaczają arenę do koła. Muzyka arcyoryginalna, bo składająca się z bębna i piszczałki odzywa się i wydaje tony dzikie i przeraźliwe, bez śladu jakiejkolwiek melodyi. Na dzielnych rumakach, w malowniczych strojach Wschodu, wyjeżdżają jeźdźcy i rozpoczynają igrzysko, każdy trzyma w ręku tępy dżiryt. Dzielą się na dwa obozy, i kolejno wyjeżdżają ku sobie, wyzywając się wzajemnie. Wyzwanie takie odbywa się rzuceniem dżiryta, który ma trafić konia lub jeźdźca, a wtedy jeździec ugodzony puszcza się w pogoń za uciekającym już w pełnym pędzie przeciwnikiem i rzuca w tym pędzie dżiryt na niego. Najważniejszem jest wtedy zadaniem zręcznie umknąć przed pociskiem, lub co najtrudniejsze lecący dżiryt w rękę uchwycić. W ten sposób tworzy się karuzel tak piękny, tak zajmujący, żem tęsknił za ołówkiem Juliusza Kossaka, którýby z pewnością z podobnego obrazu arcydzieło utworzył. Prym wodził w tej rycerskiej rozrywce nasz przyjaciel i towarzysz myśliwy Mehmet, ten sam, który na nas naganiał antylopy i szakale. W żółtym kaftanie i turbanie białym, na dzielnym kasztanowatym ogierze, dawał dowody niezwykłej zręczności. W pełnym pędzie swego wiatronogiego rumaka, rzucał na ogromną odległość dżirytem i prawie zawsze trafił uciekającego przeciwnika. Sam widziałem jak z rzędu trzy na niego rzucone dżiryty w pełnym pędzie w powietrzu ręką uchwycił. Radziłbym naszym europejskim sportsmanom, by takiego spróbowali sportu. Ten Turek, choć bardzo zamożny i już wiekowy, a jeździec znakomity, pewnieby dżokiejów na swoje konie nie wsadzał, ażeby oni za niego jeździli. On jest takim jeźdźcem, jak ten, o którym wieszcz powiedział, że:

Koń i jeździec — jedna dzika dusza. —

Te igrzyska dżirytowe są już od wieków tradycyjną zabawą Muzułmanów. Tam młodzież nabiera hartu, ćwiczy się w konnej jeździe i oswaja się z niebezpieczeństwem. A niebezpieczeństwo jest istotne, bo dżiryt choć tępy, ale nieszczęśliwie silną ręką rzucony, może na miejscu zabić przeciwnika, co się tu często wydarza. A jednak tak silne jest tu zamiłowanie do tej zabawy narodowej, tak silnie tkwi w narodzie przechowana o tem tradycya, że w razie podobnego nieszczęśliwego wypadku, rząd krajowy nie ma prawa ścigać winowajcy, a co więcej rodzina ofiary najmniejszej nie żywi niechęci do sprawcy mimowolnego nieszczęścia.

Podczas obiadu przybył pan Artur Janowski z panem Mazouillet, drogmanem naszym, Francuzem zamieszkałym w Lattakii, a synem tamtejszego niegdyś francuskiego konsula. Pan Janowski znanym jest badaczem przyrody na Wschodzie, dostarczającym ciekawych okazów z dziedziny fauny i ornitologii do pierwszych muzeów europejskich. Głęboko uczony w tej wiedzy, jest fanatykiem swego zawodu, a zdobi go, jak to zazwyczaj u ludzi prawdziwych zasług bywa, niesłychana skromność. Jestto cichy pracownik, o którego zasługach więcej wiedzą inni niźli on sam, zamiłowany w swej nauce i wiedzy, zawsze gotów nawet z ust profana chwytać w lot spostrzeżenia różne, tyczące się jego zawodu, niestając nigdy z dumą na piedestalu swojej wiedzy, by strącać z niego garnących się tam, nauki chciwych, owych profanów. Widziałem liczne podziękowania przysyłane mu z wszystkich prawie pierwszych muzeów europejskich, bądź to za przysyłane okazy, bądź to za udzielane objaśnienia, a szlachetny ten nasz ziomek, ofiara burz naszych i zawieruch politycznych, nigdy się nie wzbił w niepotrzebną dumę, i na zawsze pozostał cichym i skromnym pracownikiem. Towarzysz jego pan Mazouillet, który przybył do nas w postaci drogmana, bo włada doskonale tureckim i arabskim językiem, jest jedną z najpocieszniejszych postaci, jakie mi się kiedykolwiek udało spotkać. Jest, jakieśmy

*

to mówili synem exkonsula francuskiego w Latakii. Odziedziczył po ojcu znaczny majątek, który w ciągu roku jako nieodrodne dziecie nadsekwańskie przy zielonym stoliku zlikwidował. Teraz pozostała mu tylko piękna kamienica w Latakii, mniej piękna żona, troje dzieci i niczem nie ugaszone pragnienie. Dla tych to powodów przyjął na siebie urząd drogmana i jest tłómaczem przybywających tu Europejczyków, co go stawia w możności czasem zaspokoić głód swej rodziny a czasem i własne pragnienie. Jak się później przekonać mogłem, pan Mazouillet jest człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości, czego mi dowody przytaczali mieszkańcy Lattakii, którzy go od dzieciństwa znają. Największe skarby naślepo powierzyć jemu można, z wyjątkiem butelki koniaku, gdyż tego rodzaju pokusa przewyższa jego siły i zasady. Pracuje w postaci drogomana biedny ten niegdyś zamożny człowiek, ażeby wyżywić swoją głodną rodzinę a po części ażeby ugasić palące go ciągle pragnienie, we mnie jednak wzbudził współczucie. Z powierzchowności jest to jedna z najśmieszniejszych postaci, jakie się widuje. Klęski rozmaite zniżyły go do roli trefnisia, do roli, która mu czasem jakiś grosz przynosi, grosz, który ma wyżywić może jego żonę i dzieci. Gdy jest trzeźwym (co się wszelakoż rzadko zdarza), jestto człowiek inteligentny i z sercem. Udało mi się w chwilach takich obaczyć łzę w jego oku i jasny pogląd na rolę, którą dla dobra swej rodziny odgrywać musi. Z tego to powodu nie umiałem być nigdy uczęstnikiem owych znęcań, które sobie inni względem niego pozwalali, korzystając z jego położenia zależnego, lub niezbyt trzeźwego stanu. Wyśmiewanie się z tego biednego człowieka i dokuczanie jemu uważałem zawsze za czyn nieszlachetny, za niegodziwe nadużywanie chwilowej jakiejś swojej nad nim władzy. Zawsze utrzymuję, iż należałoby w ten sposób zmienić nasze przysłowie: „Na pochyłe drzewo nie kozy, ale tylko capy skaczą“.

Podczas niebytności naszej w domu biskup ormiański przybył, by nas pożegnać, niezwykły to dowód uprzejmości od kogoś stojącego tak wysoko w hijerarchii kościelnej Mieliśmy też wizytę pułkownika żandarmeryi przysłanego nam przez gubernatora, a później oficera, który nas ma eskortować do Alexandretty, a który przybył po nasze rozkazy. Niechże teraz kto zaprzeczy, że pod względem grzeczności i uprzejmości, barbarzyński Wschód niezostawił naszego cywilizowanego Zachodu daleko za sobą.

Wielka dziś zaszła zmiana w dalszych naszych projektach i program całej naszej wyprawy zupełnemu uległ przekształceniu. Mieliśmy zamiar udać się z Adany aż na szczyty pasma gór Bulgar-Dagh, i tam przez kilkanaście dni polować na niedźwiedzie, koziorożce i muflony, a potem przedrzeć się, polując ciągle, przez łańcuch gór Giaur-dagh i wyjść na dolinę Akbesu. Na nieszczęście w wilią wyjazdu z Adany, trzej koledzy nasi, obaj bracia Drohojowscy i Rudzki, którzy tylko jako turyści a nie jako myśliwi przyłączyli się do naszej wyprawy, oświadczyli nam bardzo stanowczo, iż się już nie czują na siłach do ponoszenia dalszych trudów myśliwskich i pragną przyszłym statkiem odpłynąć z Alexandretty. Lubo szczery żal uczuliśmy z powodu utraty miłych i najlepszych w podróży kolegów, dziwić się temu niemogliśmy wcale. Ludzie otoczeni zawsze wszelkiemi wygódkami, które się stały już dla nich potrzebą życia, nieprzywykli ani do trudu, ani do forsownego chodu ni konnej jazdy, a do tego wcale nie zamiłowani w myśliwstwie, nigdy niebyliby wstanie wydołać i znieść trudów górskiej wyprawy. Śród spokojnego kilkodniowego pobytu naszego w Adanie, skąd tylko drobne i nie męczące urządzaliśmy wycieczki, kilko-godzinne nawet polowanie już było nad ich siły, i tylko z wrodzonoj uprzejmości ponosili je przez wzgląd na nas, lubo każde myśliwskie niepowodzenie demoralizowało ich odrazu, jakto zawsze u niemyśliwych bywa. Uwzględniając to jak najchętniej, uczyniliśmy ofiarę z naszych projektów jazdy w Bulgar-dagh, ażeby mieć przyjemność spędzić kilka dni dłużej jeszcze z miłymi kolegami, którzy z rzeczywistej konieczności nas opuszczać musieli już przed rozpoczęciem polowań naszych, gdyż nasza cała wyprawa była dla nich istną ofiarą a nie przyjemnością.

27 Lutego pożegnaliśmy serdecznie naszego najgościnniejszego i najprzyjemniejszego gospodarza pana Melhamé i liczną karawaną składającą się z 18 koni, eskortowani przez oficera żandarmeryi i rządowego Kawasa, opuściliśmy Adanę. Dzień był prześliczny, gorący jak nasze dnie Lipcowe. Zawoje, któreśmy wszyscy na podróż przywdziali, strzegły nas od zbytniego upału. Nieoceniony to wynalazek i niezbędny w tym klimacie, każde inne okrycie głowy naraża na reumatyzm lub uderzenie promieni słońca, co tu bardzo często śmierć sprowadza. Malowniczo wyglądała nasza karawana, lubo wynajęte nam konie z Adany nie pochodziły pewnie ze słynnej rasy Nedjdi, ani od żadnej z owych klaczy, któremi Mahomet pojechał do nieba, bo się wlokły wolno, jakby osiołki, a jazda na siodle tureckiem jest dla jeźdźca europejskiego torturą, która niewiem dla czego uszła uwadze Wielkiej Inkwizycyi. Jechaliśmy długo pustynią w kierunku gór Giaur-dagh i ujrzeliśmy wiele stad pasących się antylop po obu stronach naszej drogi. Urządziliśmy konną pogonkę na jedno stadko, ale plan się nie powiódł, bo na nagim stepie strzelcy znaleść niemogli dostatecznego schronienia, i te przezorne zwierzęta wypatrzyły nasze stanowiska i w przeciwną uderzyły stronę. W ogóle polowanie na antylopy do najtrudniejszych zaliczyć muszę, prawie nigdy pogonką niedadzą się wygnać na strzelców, czasem tylko w gęstych zaroślach zejść się dadzą i na możliwą odległość pomykają, co się wszelakoż bardzo rzadko wydarza. Dążyliśmy na nocleg do wioski Missis, a więc trzeba było pomyśleć o żywności. Opuściliśmy nasze konie i wyciągniętą tyralierską linią weszliśmy w zarośla mirtowe i karłowatą kolczastą dębinę. „Bleczka“ czarna wyżlica Kara Audżi, przybyła z Lattakii, była jedynym naszym psem, a ta suczka bardzo ma dobre chęci, ale nos nieszczególny, frankolin i kuropatwa były jej zupełnie obojętne, jednego tylko zająca namiętnie gonić lubiła. Ja ruszyłem zaraz odyńca, do którego nie strzelałem mając tylko śrótówkę w ręku, potem pomknął szakal przedemną i znikł w zaroślach mirtowych, strzał był niemożliwy. Zabiłem dwie kuropatwy czerwone, Hulimka dwa frankoliny, Rudzki i Brzostowski każdy po jednej kuropatwie, a jeden ze strzelców zająca. Tak tedy mieliśmy już na dziś zapewnioną wieczerzę. Nad wieczorem pomknęła przedemną antylopa może na 50 kroków, mimo przestróg Kara Audżi, by mieć zawsze śrót gruby w jednej lufce, miałem tylko śrót drobny na frankoliny i kuropatwy, na które z wielkim zawsze poluję zapałem. Cóż było robić? Gorączka myśliwska mnie porwała, i jakby student na wakacyach, drobnym śrótem strzeliłem i pokaleczyłem tego szlachetnego zwierza. Za ten czyn niemyśliwski dotąd wstydzę się przed samym sobą i przed wami bracia moi w Hubercie. Hulimka także strzelał na znaczną odległość kulą do stada antylop, a strzelec jego chybił do jednej, która mu bardzo blisko z krzaków pomknęła.

Przybyliśmy na nocleg do Missis, gdzieśmy znaleźli komfort, jakiego prawdopodobnie używać musieli Magowie podczas podróży do Betlehem. Jestto niegdyś miasto, a dziś ruina,

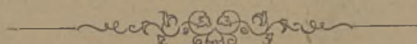
dom bez dachu i okien, cztery ściany tylko i to już w stanie zupełnego rozkładu, tak je ząb czasu pogryzł niemiłosiernie — oto nasz nocleg. Zaręczam, że żaden ze sportsmanów naszych niepostawiłby swego konia w tak lichej stajni, a przecież nasza karawana cała wraz z eskortą i mukrami tu nocować musiała. Przysłowie mówi: „Gdy na niedźwiedzia spadnie drobna gałązka, to wtedy mruczy, lecz gdy się na niego cała kłoda zwali, to milczy“. Tak się stało! Ci nasi Towarzysze, którym podróż po Wschodzie zanadto uciążliwą się wydawała dla braku komfortu, już w Adanie, a nawet w Konstantynopolu nie kontenci byli z hotelu i kuchni, tu w Missis, przygnębieni i jakby gromem rażeni umilkli i narzekać przestali. Co do mnie, lubo cenić umiem komfort w domu i przyznaję się, że go bardzo lubię, w wyprawach tego rodzaju wcale za nim nie tęsknię i ta właśnie odmiana mnie bawi. Ze względów higienicznych nawet bardzo jest dobrze wyrywać się czasem od zniewieściałego życia, i doznać trudów i niewygód, które hartują zdrowie. Każdy zresztą podróżujący po Wschodzie przygotowanym na to być musi, więc go żadna nie czeka w tym kierunku niespodzianka.

Z Missis wyruszyła 1 Marca karawana nasza do Kurdkułak, wzdłuż stoku gór Tygrysich (Missis-dagh). Widzieliśmy w dali zwaliska pysznego zamku z czasu wojen krzyżowych, na szczycie wyniosłej, stromej skały. Skorzystałem z chwili wypoczynku, by sobie na prędce ten śliczny widok naszkicować. Zamek wężowy (Iłan Kalesi) jest położony nad rzeką Dzihan-su, dawne Pyramus. Okolica ta słynie w istocie z niesłychanej ilości wężów. Osadzone tu przez rząd turecki liczne kolonie Czerkiesów, wydały zaciętą wojnę tym płazom i znacznie już je dotąd wyniszczyć mieli, jestto istotna walka o byt dla mieszkańców tej okolicy. Trzeba było znów zapolować na kuchnię, i przekonaliśmy się o niesłychanej w tych stronach ilości frankolinów, gdy ciągle przed nami bez wyżła wyrywały się te tak trudne do wyruszenia ptaki. Kilka ich się nawet porwało przed końmi naszymi podczas pochodu karawany. Na porządne polowanie niebyło czasu, i szliśmy tylko na ochotnika po krzakach wzdłuż drogi strzelając co się nadarzy. Chybiliśmy i postrzelili kilka frankolinów, ale niepodnieśli żadnego. Kara Audżi ruszył bardzo wielkiego odyńca, ale nie strzelił, gdyż miał tylko śrót drobny w strzelbie. Na bagnie koło szlaku zastaliśmy bajeczny ciąg kszyków, ale gdy to już było po zachodzie słońca, ptaki niedotrzymywały i parę tylko ubito. Smutne to pieczyste na wieczerzę dla siedmiu osób przy dobrym apetycie! Kurdkułak jestto jeszcze mizerniejsza miejscowość niż Missis. Pomieszczono nas w jakimś wielkim budynku, w którym jedna tylko była izba, oczywiście bez drzwi i okien, ściany plecione z chrustu, który na wewnątrz tworzy kolczaste przypadkowe boazerye. Nędza niewidziana! a w dodatku nasze zapasy żywności były w opłakanym stanie, bo postrzelone przez nas frankoliny, prawdopodobnie szakale dogryzały w tej chwili. Jakem to już poprzednio wspominał, prawdziwą naszą Opatrznością stał się Brzostowski, który się podjął roli kuchmistrza, i tak się świetnie ze swego wywiązywał zadania, iż po każdym obiedzie zasłużone hołdy odbierał, a trzeba wiedzieć, że w naszem gronie było kilku znawców nauki gastronomicznej. Lubo zasoby nasze były zbyt szczupłe, potrafił on jakimś cudem, jakby w Chanie Galilejskiej pomnożyć chleb i jadło tak, że wszyscy nieco nakarmieni choć wcale nie nasyceni powstali od wieczerzy. W około ogniska rozniecconego po środku izby, zawinięci w burki, i co kto miał przy sobie, przypomnieliśmy sobie przysłowie francuskie: „*Qui dort, dine*“ i oczekiwaliśmy przybycia Morfeusza, oddając naszego ducha marzeniom, a nasze ciało na pastwę czarnym, skaczącym owadom, które tu są liczniejsze niż frankoliny w pustyni. Dwaj nasi towarzysze zbyt czuli na ból, który sprawia ta azyatycka tortura, postanowili przepędzić noc w hamakach, i zawiesiliśmy te siatkowe instrumenta na sterczących gałęziach ścian naszego domostwa, nie zbadawszy poprzednio stanu ich strupieszałości. Zawieszone lekkie hamaki same kołysały się z wdziękiem między niebem a ziemią i do snu zapraszały. Gdy po chwili te siatki obciążone zostały wagą przeszło cetnarową każdego z naszych towarzyszy, spruchniałe patyki, mimo chęci najlepszej wypowiedziały służbę, i hamaki posłuszne prawom przyrody i sile przyciągającej naszego płanety, wraz z swym balastem z pod nieba runęły na ziemię. Gdyby na podłodze pod hamakami był nasz kuchmistrz pieprz choćby w najgróbszych ziarkach rozsypał, byłby go zastał pewnie na drobną mąkę potłuczonym.

2 Marca wyjechaliśmy z Kurdkułak szlakiem, wzdłuż którego widać ślady gościńca zbudowanego przez Rzymian. Kręci on się po stokach gór Missis-dżebel, a u jego zachodniego kresu wznosi się wielka kamienna brama o nader ponurych zarysach, zwana bramą ciemności (Karanłyk kapusu). Gdyśmy przebyli wreszcie z wielkim trudem to strome pasmo gór, rozwidnił się przed nami uroczy krajobraz z widokiem na morze. Zatoka morska wpływa tu głęboko aż pod stopy olbrzymiego pasma gór Giaur-dagh, których szczyty okryte śniegiem. Z dala po drugim końcu zatoki widne miasto Pajas, cel naszej dzisiejszej podróży. Karawana nasza myśliwska okrążać musiała całą naszą zatokę, i marsz ten dziewięć godzin trwać musiał. Upał był nieznośny. Błogosławiliśmy nasze poczciwe arabskie rumaki, które po stoku tych kamienistych gór ze zręcznością kozic schodziły, żaden nie upadł, żaden nie utknął. A my niedoświadczeni i niewdzięczni takeśmy im w dniach poprzednich złorzeczyli na równinach, że chód ich tak niepodobny do chodu naszych angielskich folblutów i halbblutów. W tych górach byłbym rad widział owe do nas sprowadzane za drogie pieniądze dzieci Albionu. Kara Audżi swoim zwyczajem z Bleczką wzdłuż naszej drogi przebiegał zarośla. Niezmordowany to człowiek, zawsze swobodny, nigdy nienarzekający i niezdemoralizowany, zawsze pełen myśliwskiej ochoty i nadziei. Typ to już rzadki jednego z prawdziwych myśliwych, o których już tylko legendy wspominają, a któremu nikt z nas z pewnością łani w części sprostać nie zdoła pomimo całej naszej myśliwskiej zarozumiałości. Rzadko on kiedy dosiada rumaka, więcej bowiem ufa swoim dwom zdrowym nogom, niż czterem nogom końskim. Zabił trzy zające i przytroczywszy je do torby szedł dalej z nimi jakby dźwigał przepiórkę lub kuropatwę. Ostatnim swoim strzałem do zająca spłoszył stado antylop, w którem było najmniej z 50 sztuk, i ta cała czereda przemykała, ale na wielką odległość, po przed naszą karawaną.

Nie mieliśmy czasu zatrzymać się dla polowania bo mieliśmy jeszcze ogromny pochód przed sobą.

(Ciąg dalszy nast.)





ZAJĄC

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

Nader ciekawe to zwierzątko dla badacza, nie dosyć jest znane w szczegółach życia, zwyczajach i swych rozhukanych chuciach. Zamierzam pobieżnie, bez pomocy książek przyrodniczych skreślić niektóre charakterystyczne rysy tej rozpowszechnionej i tyle cenionej zwierzyny.

Mniemam, iż w rzędzie ssaków nie ma ani jednego, któryby podobnie dziwny stosunek dawał samców do samic, albowiem niezawodnie jedna trzecia jest samic, a dwie trzecie samców, według mego badania zaś tylko jedna czwarta samic, i ztąd to pochodzi owa trudność znacznego rozmnożenia zajęcy, nawet przy tak niepospolitej płodności tej zwierzyny w ciągu ośmiu miesięcy roku. Wiele lat polując wiosną na słonki, widywałem w miotach po 10 do 15 zajęcy, minimalną wywodząc liczbę, spodziewałem się przynajmniejszej potrojenia jej w jesieni, a jednak stan zajęcy mimo starannego tępienia lisów nie mnożył się w odpowiednim stosunku. Kto wiele dni na wiosnę przepędził w polu i w lesie, ten naocznie mógł się przekonać o powyższym, niekorzystnym dla zajęczyc stosunku. Ile razy widzimy pomykającą samicę, tyle razy spostrzegamy ją gonioną przez dwóch lub trzech samców, motłoszoną, skubaną, poniewieraną nad miarę tak, iż ledwie dyszy, chrapie, bokami robi, a nawet bezsilna kładzie się na ziemi zapominając o przyrodzonej ostrożności. Krocie razy badałem takie zajęcze wesela, zawsze widziałem samców jakoby pijaków, rozhukanych rozpustników, głuchych, ślepych i rozszalałych nad wszelki wyraz. W celu zdania sobie sprawy z tych szczególnych zjawisk w przyrodzie, należy starannie badać roznamiętnione zające ścigające samice, wyrzekające się nawet miłośnych rozkoszy jedynie dla usunięcia współzawodników. Oto jeden z nich w gorączkowej zapalczywości prześcignął rywalów, przytrzymuje uciekającą zębami, chwytając zwykle za tylne skoki, a jeśli chybił, ściga dalej, wyrywa turzycę gdziekolwiek ją pochwyci, wreszcie przytrzymuje, wskakuje, a inny go łapie, ściąga, gryzie i szarpie, trzeci *inter duobus litigantibus*, korzystając z zaciętej walki, przegania współzawodników, i już ma dojść do celu, ale oni wobec grożącego niebezpieczeństwa przerywają bójkę, pędzą za nim, i odpędzają od samicy, szarpiąc go ostrymi zębami. W całej przyrodzie widzimy te miłosne zapasy, lecz krótkotrwałe, przemijające, tu przeciwnie gonią się przez dzień cały po lasach, drogach i polach, im dłużej trwają te tłuste dnie, tem bardziej zwiększa się orszak konkurentów, ja sam widywałem pięciu do siedmiu. Uganiając hałaśliwie po krzakach i łanach, budzą ze snu innych, którzy też bezwłocznie przyłączają się do tej miłosnej pogoni. Nie ma nic pocieszniejszego nad widok tej rozszalałej zgrai na wiosnę po stopieniu śniegów i wytworzeniu się kałuż. Samica strwożona, znużona, pędzi na oślep nie wybierając drogi, wpada do wody, chlapie i pryska nią, a w ślad jej gonią samce, i zdarza się nieraz, że w tejże chwili uda się któremu przytrzymać ją, wtedy w wodzie odbywa się bójka, targanie za słuchy, skubanie turzycy przez kilka minut, nim się nieszczęśliwa ofiara uwolnić zdoła od napaści tych rozognionych temperamentów. Częstokroć zostawia to chaotycznie ruchliwe wesele wzdłuż drogi widome ślady w powyrywanej turzycy. Trzeba widzieć owe zające ochlapane, obskubane, z wiszącymi łachmanami, aby sobie na zawsze wryć w pamięć obraz ciekawy tego wesela śród walki, na którem panna młoda bywa obszarpaną, stratowaną i zmaltretowaną nad wszelką miarę i wyraz. Jeżeli słusznie twierdzimy, że wybicie starszych rogaczów jest koniecznością w celu pomnożenia sarn, o ileż konieczniejszem jest przerzedzenie samców w rodzie zajęczym. Dziwne, iż znakomici niemieccy hodowcy zwierzyny niezwrócili na to uwagi, troskliwie wybijają oni rogacza, kohoty kuropatw i kaczory, a pozostawiają zbyteczną i wielce szkodliwą ilość samców zajęcy, nie dozwalających swobodnego i spokojnego mnożenia się tej zwierzyny na wiosnę. Jak już wyżej wspomniałem, gonitwy te wyczerpują siły samicy, podczas gdy samce się zmieniają, bo zmęczone i pobite ustępują z pola walki, a świeże przybysze nadbiegają, prześladują, skubią i męczą zawsze tę samą zajęczycę. Zdarza się często, że pogoń trwa długo bez spełnienia aktu płciowego, lub zbyteczne znużenie wysila samicę, wtedy ginie ona z niemocy. Uwagi te moje odnoszę do miesięcy zimowych i wiosennych, mówię wyraźnie zimowych, bo temperament tych zwierzątek dochodzi do takiego rozgorączkowania, że już przy Styczniowych odwilżach odbywa się parkotnia; przeciwnie pod cieniem zboża i baldachimem liści obchodzi zajączek spokojnie wesele, bez współudziału rywalów, dobrawszy sobie oblubienicę. Lecz i w letnich miesiącach widzimy niekiedy pogonie i walki po ugorach i rolach, gdy zajęczyca znaczne przestrzenie przebiega, a poruszone samce przyłączają się do weselnego orszaku. Proszę nie sądzić, iż dzień tylko jest przeznaczony na te zajęcze saturnalia, i w nocy się one odbywają z równą zaciekłością, co staje się widocznem na łanach oziminy, oświetlonych blaskiem księżyca, i wreszcie w pozostałej na polu turzycy, jako śladu walki i pogoni. Niewątpliwie to samo usposobienie tkwi w zajęczycach, jakie spostrzegamy w sukach, a nawet wilczycach, mianowicie w czasie parkocenia najwyższy niepokój, który je nieustannie do pędu zniewala. Wszakże słyszymy w porze tyczni o gromadce wilków, widywanej na przestrzeni kilku mil w tym samym dniu. Ileżto widziałem suk w czasie grzania uganiających przez kilka dni po lasach bez pożywienia z psami, lubo były dobrze ułożone, gdy przeciwnie inne odbywały ten akt zupełnie spokojnie śród zagrody domowej. Utkwił mi w pamięci obrazek wielce uciesznego wesela zajęczego, jakiego powtórnie nie zdarzyło mi się widzieć. W r. 1867 stałem w Kwietniu na wysokim zrębie wyczekując słonek, oparty byłem o dębowy nasiennik, rozkosznie wciągając w siebie balsamiczną woń rozkwitającego lasu i harmonię spiewu lotnych przybyszów, z wzrokiem zatopionym w daleką przestrzeń, nie spoczywającym na żadnym przedmiocie, z myślami rozpuszczonemi w krainę marzeń o odradzającej się przyrodzie, gdy nagle staje przed okiem mojem bezkształtna, poruszająca się, szara postać nieustannie zmieniająca swe zarysy. Nieruchomy zatapiam w nią wzrok w przekonaniu, że to sarny w znacznem oddaleniu, więc usiłuję rozpoznać rogacza, ale natomiast spostrzegam cztery zające, w kupę zbite, posuwające się ku mnie. Zajęczyca zmęczona nad miarę mruczała, robiła bokami, i często wtykała mordeczkę w śnieg, a za nią trzy zające, to jakby w trójkę wprzęgnięte, to znowu bieżąc jeden za drugim gę-

siego. Oto jeden z nich już na zajęczycy i w tejże chwili zepchnięty przez drugiego, dwa znowu widzę w zaciętej walce, jednego trzymanego za słuch, drugiego kąsającego po przednich skokach, a trzeciego na zajęczycy. Znowu zmienia się obraz jak w kalejdoskopie, zapaśnicy poprzestają walczyć i z wściekłością rzucają się na szczęśliwego, używającego rozkoszy małżeńskiej, ściągają go i chwyciwszy zębami za słuchy obracają nim młynkiem w kałuży, a jeden korzysta z zaślepienia walczących, ale nie długo, bo wnet zjawia się rywal, skubie, gryzie i ściąga go. Można sobie wyobrazić stan zajęczycy w skutek nadmiaru owych zalotów, znajduje się ona w takim stopniu unużenia, który nie dozwala czuć i myśleć, znać w niej ową zupełną prostracyę zwłaszcza podczas zaciętej i nieco dłużej trwającej walki, gdy przykucnie i legnie jakoby martwa, zdawałoby się, że już nie powstanie, a jednak na nowo atakowana wstaje, ucieka i pędzi zapamiętale. Bawiłem się tym widokiem przez kwadrans może i dłużej, a gdy zatrąbiono i naganiacze huknęli, pomknął cały orszak weselny i zniknął mi z oczów. Zając napastniczy to istny gbur, bezwzględny, niedelikatny, obcesowy, maltretujący bezlitośnie swoją wybraną. Jak chłopka częstokroć wyrywa się z objęć oblubieńca zakrwawiona i sińcami okryta, tak też zając swoją ukochaną pogryzie i obskubie, a dotkliwe musi być cierpienie zajęczycy podczas wiosennych przymrozków, przy słotach i mgłach mieć ciało w wielu miejscach obnażone, bez żadnej ochrony. A tchórzem też jest gach i nie mający pojęcia o wierności, gotów w każdej chwili przyłączyć się do innego wesela, skoro je spostrzeże. Kiedy rozmokła rola zapędzi zające do lasu, a nie znoszą one zabłocenia poduszek na skokach, wówczas można widzieć kilka, nawet kilkanaście takich wesel, uganiających po lesie. Pociesznym zaiste jest zając w owej porze, rozogniony, zaślepiony, wściekle natarczywy, nie widzi nic, nie słyszy jak cietrzew tokujący, a tchórz przytem pierwszorzędny, po strzale lub głosie ludzkim zapomina o swej ukochanej, ani myśli jej bronić, ucieka co tchu, a strach przytłumia w jednej chwili rozhukane chucie. Zajęczyca dziwnie wytrwała w zalotach przez rok cały, zaledwie od Listopada do Lutego wypoczywa, w innych miesiącach używa bezmiernie rozkoszy miłośnych, rodzi, karmi przez krótki czas, i znowu szuka gachów pomimo ran i oskubanych miejsc na ciele. Chwilowa i wcale nie wierna żona, chłodna, bez serca matka ma zupełnie odrębne od innych zwierząt zwyczaje Tak tedy rodzi niekiedy po jednym w różnych miejscach, pod płotem, w szopie, w słomie, pod stertą, pod krzakiem obrośniętym trawą, trudno dociec, ażali to czyni z pospiechu, w swej trwożliwości i niespokojnem usposobieniu, czyli też z przezorności szukając różnego bezpiecznego schronienia. Spostrzeżenie to sprawdziłem nieraz po gumnach, gdzie tylko jeden trop znajdowałem na śniegu, widocznie więc samica ta sama odbywa połóg w różnych miejscach. W pierwszych kilku dniach chodzi do małych, później siada o odal, mruczy, zwołuje dzieci, które pełzając dążą do piersi. Nieraz widziałem na ponowie odcisk leżącej bokiem samicy i tropy drobnych zajączków nie większe jak szczurów. Z wszystkich ssaków najrychlej bywa biedny zajączek opuszczony przez matkę, a ojca wcale nie zna, często więc ginie śmiercią głodową w skutek niemożności dostarczenia sobie pożywienia; z tejto przyczyny mało u nas w Polsce marcowych zający się wychowuje na śniegach, pokrywających leśną roślinność, na pola zaś i na oziminy nie odważy się mały zajączek wyruszyć. Nietylko starsze zające giną z braku pożywienia, lecz także młodsze, bo matka zimowlą i uganianiem wysilona, nie ma pokarmu, i porzuca rychło dzieci.

(Dokończenie nastąpi).

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

BÓBR.

(Ciąg dalszy).

Bóbr należy do gryzoniów szczurowatych *(glires)* tak wszakże od nich wszystkich odmienny, iż stanowi osobną familię *(castorina)*.

Brehm opowiada: „Już starożytni pisarze zajmowali się bobrem, nie dając jednak szczegółowych i dokładnych o nim wiadomości. Aristoteles zalicza go do czworonożnych, żyjących w jeziorach i rzekach. Pliniusz mówi o skuteczności stroju bobrowego i dodaje, że bóbr kąsa dotkliwie i człowieka nie puści, dokąd mu kości nie połamie, że ścina drzewa jakby siekierą a ogon ma jak ryby, zresztą podobny do wydry. W sławnym opisie, jaki daje Olaus Magnus, biskup Upsalski, który około r. 1520 o Norwegii i jej faunie ciekawe dzieło ogłosił, znajdują się różne błędne mniemania i gadki o tem zwierzęciu. Uczony prałat wspomina, że bóbr, lubo Solinis wskazuje tylko wody morza czarnego jako jego siedzibę i miejsce mnożenia się, znajduje się w znacznej liczbie nad Renem, nad Dunajem, na mokradłach morawskich, a jeszcze obficiej na północy, tu bowiem na rzekach nie ma tyle wrzawy, ile na spławnych Renie lub Dunaju. Na północy buduje z dziwnym kunsztem, jedynie naturalnym instynktem wiedziony, na niezliczonych rzekach swe domy drewniane. Bobry idą gromadnie po drzewo budowlane, ścinają je zębami i niosą w dziwny sposób ku swoim łożyskom. Stary, gnuśny bóbr, nie mogący podążyć za towarzyszami, staje się ich narzędziem, przewracają go na grzbiet, kładą mu drzewo między przednie i tylne łapy, ciągną go do swych bud, zdejmują z niego ładunek, i tak długo go używają, dokąd domu nie zbudują. Zęby tych zwierząt tak ostre, że ścinają drzewa jakby nożycami. Dom składa się z dwóch lub trzech komor ponad sobą, które tak są urządzone, że korpus bobra z wody wystaje, ogon zaś w niej leży. Ogon jest łuskowaty jak rybi, powleczony jakoby skórą, stanowi smaczną potrawę i skuteczny lek dla słabo trawiących, bywa też wraz z tylnemi łapami tak jak ryba spożywany. Mylnem jest mniemanie Solinisa, że prześladowany bóbr odgryza sobie worek wraz z strojem, i podrzuca go myśliwemu w celu ocalenia się, wszystkie bowiem żywcem schwytane miały worek, a może im być tylko wraz z życiem odjęty. Strój jest najlepszem antidotum przeciw morowej zarazie, febrze, pomocnym jest w ogóle w wszelkich

chorobach. Daje bóbr prócz tych jeszcze inne korzyści. — W miarę niższych lub wyższych bud każe wnioskować o przyszłym stanie wód, a wieśniacy czyniąc spostrzeżenia na bobrach, mogliby swe pola aż po brzegi rzek uprawiać, lub też zostawiać je odłogiem, niezawodnie bowiem będą zalane, gdy bóbr wysokie domy buduje.

Późniejsi pisarze wierzyli wszystkiemu, co o bobrach podawano, i dodawali nowe opowieści. Marius, lekarz w Ulm i Augsburgu pisał roku 1640go osobne dzieło o użytku leczniczym z bobra, składającego się prawie z samych recept. Frank pomnożył je roku 1685go znacznie. Już owi pisarze twierdzili, że skóra i tłuszcz, krew i włos, zęby a szczególnie strój są wybornymi lekami, że z włosa wyrabiane bywają czapki chroniące od chorób, zęby zawieszają się dzieciom na szyję, aby ułatwiały ząbkowanie, krew zaś używana w rozmaity sposób. Dawne te pisma świadczą o istnieniu bobra przed wiekami. Widzimy z nich, iż żadne może ze zwierząt tak rychło nie ubywało, jak te cenne gryzonie. Dziś jeszcze sięgają siedziby bobra w przestrzeń trzech części świata, i rozlegają się przez wszystkie między 33 a 65 północnej szerokości leżące stopnie, w dawniejszych czasach musiały być one jeszcze rozleglejsze Sądzono, iż bóbr znajdował się w egipskiem piśmie obrazowem, a ztądby wynikało, że istniał w Afryce. Religia indyjskich magów zabraniała go zabijać, mieszkał więc też w Indyach. Gessner mówi w r. 1583: „Lubo we wszystkich krajach bóbr jest pospolitym, to jednak najchętniej mieszka tam, gdzie wielkie rzeki płyną, przy Ar, Rois, Lemmat w Szwajcaryi, również Byrs koło Basel ma ich wiele, w Hiszpanii prawie przy wszystkich wodach, we Włoszech, gdzie Po do morza wpada“. — We Francyi i w Niemczech prawie wszędzie się znajdował. W Anglii naprzód go wygubiono. Obecnie w Niemczech jest bardzo rzadkim, chroniony prawem, na pewne jeszcze tylko u środkowej Elby, zresztą w pojedyńczych okazach i przypadkowo może jeszcze koło Salzach na austryacko-bawarskiej granicy, i chyba koło Moeny w Westfalii. W krajach Europy najliczniej przebywa w Austryi, Rossyi, Szwecyi, szczególnie Norwegii. O wiele liczniejszym, jak w Europie, jest w Azyi. Wielkie rzeki środkowej i północnej Syberyi zamieszkuje tłumnie, równie też w mniejszych i większych rzekach, wpadających do morza Kaspijskiego, ma się znajdować. W Ameryce był pospolitym, nieustanne jednak prześladowanie zmniejszyło jego liczbę. Hontan podróżujący przed dwustu niemal laty po Ameryce opowiada, że nie można chodzić przez pięć godzin po lasach Kanady, aby nie zetknąć się z żeremiem. Nad rzeką Puants na zachód od jeziora Illinois, było na przestrzeni 20 godzin jazdy więcej jak 60 żeremi, przy których myśliwi przez całą zimę mieli dosyć do czynienia. Audobon (1849) podaje Labrador, Nową Fundlandyę, i niektóre okolice państw Maine i Massachusets jako siedzibę bobrów, i dodaje, że w różnych mało uprawianych okolicach Stanów zjednoczonych jeszcze pojedyńczo bobry się znajdują“.

Bóbr (*castor fiber*, *castor communis*) należy do największych gryzoniów. Rzączyński nazywa go psem morskim lub rzecznym, zwierzęciem ziemnowodnym, z wejrzenia przerażającem z powodu długich, ostrych zębów. Według niego nogi przednie bobra podobne do psich, tylne do gęsich. Kluk dzieli go na bobra (*castor fiber*), bobroszczura (*castor moschatus*) i piżmoszczura (*castor zibethieus*). Długość bobra wynosi 75 do 95 cm., ogona zaś 30 cm. Korpus gruby, niekształtny, z tyłu znacznie grubszy, jak z przodu, grzbiet wypukły, brzuch zwieszony, szyja krótka i gruba, głowa z tyłu szeroka, zwężająca się ku przodowi, płaska, z nosem krótkim, przytępionym. Łapy krótkie i bardzo silne, tylne nieco dłuższe od przednich, pięciopalczaste, u tylnych nóg trzy palce średnie w całej długości, skrajne zaś tylko do większej połowy połączone błoną. U przednich łap pazury ostre, rynienkowate. Oczy małe, uszy podługowate, małe, prawie całkiem w włosach ukryte, wewnątrz także włosem obrosłe. Nozdrza i uszy tak szczelnie się zwierają, że nie dopuszczają wody. Otwór ust mały, górna warga szeroka, w środku bruzdowata. Zębów 20, siekacze potężne, żółte, odkryte, kłów nie ma, trzonowe od przednich znacznie odsunięte, tępe, niby fałdowane, w każdej zuchwie po cztery. — Przednie zęby przeznaczone do ścinania drzew zużyte odrastają. Sutek na piersiach cztery. Włos gęsty, puszysty krótki u spodu, po nad nimi rzadki, twardy, sterczący i błyszczący. Na górnej wardze sterczy kilka szeregów grubego, twardego i rzadkiego włosa. Barwa włosa u góry ciemno-kasztanowato-brunatna, spód jaśniejszy, puch srebrno-siwy, u kończyn żółtawo-brunatny, nogi ciemniejsze jak korpus. Włos tak tłusty, że wody nie przepuszcza, w umiarkowanym klimacie jaśniejszy, w zimnym ciemniejszy, wysoko na północy prawie czarny. Ogon (*plusk)* niewyraźnie oddziela się od korpusu, u nasady okrągły, w środku spłaszczony, do 20 cm. szeroki, u końca tępo zaokrąglony, od nasady w pierwszej trzeciej części długim włosem pokryty, dalej ogołocony, sześcioboczną łuską okryty, która nie zachodzi jedna na drugą jak u ryb, lecz tylko styka się z sobą. Między nią podnosi się włos twardy, pojedyńczo ku tyłowi pochylony. Barwa tej nagiej części jest blada. Co do ogólnego zabarwienia włosa zdarzają się odmiany, czarne, siwe, niekiedy czerwonawo-białe, nader rzadko białe lub plamiste. Czaszka i wszystkie kości silne i szerokie, i takież muszkuły. Gruczoły ślinne, szczególnie ucha, bardzo wykształcone, żołądek długi, gruczołowaty. Przewody moczowy i płciowy zchodzą się z odchodowym. U obojej płci znajdują się u dołu jamy brzusznej, w pobliżu kanału odchodowego i części płciowej dwa od siebie zwykle oddzielone, do części płciowych wchodzące gruczoły wydzielinowe, tak zwane torebki strojowe. Wewnętrzne ściany tych gruczołów powleczone są szluzowym naskórkiem, podzielonym na torebki i fałdy, podobne do łuski, wydzielające tak zwany strój bobrowy (*castoreum)*, ciemny, czerwono-brunatny, żółtawo-brunatny, albo czarno-brunatny, miękki, mazisty, gęsty płyn z właściwą sobie mocną, przenikającą, niemiłą wonią i długotrwałym, gorzkawym, balsamicznym smakiem, którego dawniej używano jako leku uspakajającego kurcze i nerwy, obecnie zaś idzie on z powodu swej względnej siły i skuteczności coraz bardziej w zapomnienie. Według Ratzeburga ma bóbr prócz torebek strojowych dwa gruczoły wypełnione olejem podobnym do miodu. Exkrementa bobra mają być przynętą w porze odzywającego się popędu płciowego. — Audobon widział na własne oczy, jak wypróżniający się bóbr ściągał ku sobie inne bobry. Bóbr waży 50 do 80 funt., żyje 15 do 20 lat.

Wyżej już wspomnieliśmy, gdzie bóbr dawniej zamieszkiwał i obecnie jeszcze przebywa. Ojczyzną jego prócz innych części świata była cała środkowa Europa, aż do 60 stopnia szerokości północnej, dopóki go chciwość ludzka nie wytępiła, a kultura coraz więcej się szerząca z siedzib nie wyparła. Bóbr nie zdoła się ratować szybką ucieczką, nie posiada broni w celu skutecznego odparcia napaści, nie łatwo i nie wszędzie znajduje kryjówkę, z natury przywiązany do

pewnych warunków miejscowości, mianowicie wody i lasu, wymaga dla bytu swego i mnożenia się spokoju i ciszy. Trzebienie lasów, wysychanie w skutek tego moczarów i wód, regulowanie koryta rzek, rugowały bobry z ich dawnych siedlisk. Tak np. w pewnej miejscowości powiatu Słuckiego były jeszcze przed niewieln laty bobry, starzy ludzie opowiadają o gonach bobrowych, jakie tam były w lasach nad brzegami rzeki. Dziś ani lasu tam nie ma, ani rzeki. Niedawno przechowywały się jeszcze bobry w okolicy miasteczka Lachowicz, w pow. Słuckim, jakoteż w Mińskim powiecie nad rzeką Isłoczą, w dobrach hr. Tyszkiewicza, gdzie dotąd w bardzo małej liczbie się znajdują. Najdogodniejszą miejscowością do ochronienia od zupełnej zagłady bobrów jest niezawodnie okolica rzeki Prypeci, nad rzekami i strumieniami, wpływającemi do niej. Gęsta sieć mniejszych i większych rzeczek na znacznej przestrzeni prawego brzegu rzek: Jasiołdy, Piny i Prypeci z brzegami zarosłymi olszą, osiką i wierzbiną, jest miejscem już przez naturę wskazanem na spokojne i bezpieczne schronienie bobrów. I tu bezwzględna chciwość wytępiła te zwierzęta prawie zupełnie, pozostałe resztki dałyby się przy starannej opiece ochronić zwłaszcza, że w tych miejscowościach kultura nie ma pola do rozwoju. Podobnież mogłyby bobry być chronione u niedostępnych brzegów rzek: Wyzwy, Turyi, Stochodu, Strumienia, Stwihy, Uborci, Sławecznej, Uszy, Ipy i wielu innych. Nie ma wątpliwości, że w małej liczbie bobry tam dotąd przebywają, oddaćby je należało pod staranną opiekę zwłaszcza ludności tamtejszej, pouczywszy ją o wielkich korzyściach stąd wyniknąć mających. — U nader nielicznej ilości bobrów, jakie jeszcze w Europie pozostały, nie ma już jak dawniej owych kunsztownych domów i tam, które sobie niegdyś same budowały, kryją się owe rozbitki, gdzie mogą, a architekturę bobrową znaleść można chyba w północnej Ameryce. w Kanadzie, Labradorze, nad zatoką hudsońską, ale i tam już chciwość ucywilizowanych i dzikich ludzi, jakotеż szerząca się kultura znacznie je wygubiła, o czem niech cyfry świadczą. W r. 1743 sprowadzono do Roszeli z Montreal w Kanadzie 127.000 skór, a angielska kompania zatoki hudsońskiej dostarczyła Anglii 27.000 skór. W takim stosunku ubywa tam ciągle bobrów, i nie daleką jest chwila, w której to zwierzę w Ameryce będzie należeć, tak jak w Europie, do wytępionych. Bóbr Kanadyjski, w nauce znany jako *castor canadensis* albo *americanus* różni się od europejskiego głównie więcej wypukłą głową, węższym korpusem i ciemniejszym włosem, osobnego rodzaju jednak nie stanowi.

Brehm charakteryzuje bobra dzisiejszej chwili w następnych słowach: „Bóbr żyje przeważnie w parze, a tylko w nader ustronnych miejscach w mniejszem lub większem rodzinnem gronie. Mieszka w wszystkich zaludnionych okolicach, tak jak wydra, w prostych podziemnych norach, nie troszcząc się wcale o utwierdzenie budy. Taką znaleziono w najnowszych czasach w pobliżu miasta Barby, w ustronnej wierzbą zarosłej okolicy, skropionej tylko rzeczką na 6 do 8 stóp szeroką, noszącą od najdawniejszych czasów nazwę Bobrowej wody. Nadleśniczy Meyerinck, który od wielu lat tam ową bobrownię badał opowiada: Żyje tu obecnie (1822) jeszcze wiele par bobrów w norach, które podobnie jak borsucze rozlegają się w długości 30 do 40 kroków, i ciągną się równolegle z powierzchnią wody, a na lądzie otwory wstępne mają. W pobliżu nor sporządzają bobry tak zwane twierdze, są to 2 do 3 metrów wysokie, wcale nie kunsztowne, z mocnego pręcia złożone stosy, który z sąsiednich drzew odgryzają, łupią i tem się żywią. W jesieni oblepiają bobry te stosy mułem i ziemią, które od brzegu rzeki piersią i przedniemi łapami ku budzie posuwają. Budy mają postać pieca piekarnego, i służą bobrom nie za mieszkanie, lecz raczej za schronienie, gdy wysoki stan wody wypędzi je z nory. W lecie tegoż roku, gdy żeremię składało się z 15 do 20 młodych i starych, spostrzeżono, iż urządzały tamy. Rzeka była wtedy tak płytka, że wchody do nory były z brzegu wszędzie widoczne, a pod nimi tylko na kilka cm. woda płynęła. Bobry wyszukały miejsce, gdzie na środku rzeki stała nie wielka wierzba, z której zrzuciły po obu stronach gałęzie do wody, na nie nakładły muł i trzcinę tak, iż woda na tej tamie o 30 centymetrów wyżej się podniosła. Prąd zrywał kilka razy tę tamę, ale zwykle w jednej nocy bywała naprawioną. Gdy wyższy stan Elby naciskał na Rutę i mieszkania bobrów zalewał, można je było za dnia widzieć, leżały wtedy na budach lub na pobliskich wierzbach".

Co do budowy mieszkań, ażali je bobry tworzą z prostego przyrodzonego instynktu lub też z wyrobionej intelligencyi, podzielone są zdania. Za instynktem przemawia Flourens opierając się na doświadczeniu, zrobionem przez F. Cuviera na młodych bobrach. Wzięte zaraz po urodzeniu, karmione sztucznie, zamknięte w klatce, nie mając żadnej styczności ze swoimi, nie nauczone przez rodziców, jednak budowały. Obgryzały gałązki wierzbowe z kory, cięły je w kawałki, i składały w kącie klatki, gromadząc wyraźnie materyał. Skoro im podłożono ziemię, słomę, gałązki, zaraz zaczęły ziemię ugniatać w kupki za pomocą przednich nóg, posuwać kupki pyszczkiem, składać jedne na drugie, i ubijać ogonem w massę twardą i zbitą, potem widziano, jak w tę ziemię wkładały kijki, budowały więc. Z tego wypływają dwa przypuszczenia — powiada Flourens, — że to zwierzę nie przyjmuje swego przemysłu od innych bobrów, zkąd według Buffona ma pochodzić ta umiejętność, i że pracuje machinalnie, bezmyślnie, wiedzione jedynie instynktem. Buffon zaś uważa pracę bobrów za przemysł nabyty, za objaw intelligencyi, niezmiernie niższy od rozumu człowieka, ale dowodzący wspólności zamiarów i rozmysłu. — Podobno obaj naturaliści mają słuszność, zwierzę popchnięte instynktem do jakiejś czynności, może ją następnie wykonywać z zamiarem i pojętnością. Wszakże widzimy nieraz, że dziecko, mające dar wrodzony do jakiej sztuki, pełni ją naprzód instynktowo, później pojętnie. Przeobrażenie instynktu w intelligencyę stwierdza przykład: Bóbr był przed laty w Muzeum hist. nat. w Paryżu. Rzucano mu do klatki owoce, jarzyny, gałązki. Zima była ostra, klatka źle się zamykała, biedne zwierzę miało za całą ochronę trochę słomy na podściółkę. Jednej nocy wiatr nawiał mu śniegu, więc zabrał się zaraz do roboty. Wszystkie gałązki powplatał między kraty, próżnię wypełnił słomą, marchwią, jabłkami, gryząc je stosownie, by kawałki przylegały do siebie. Nazajutrz rano widziano mur powyżej połowy wysokości kraty. To świadczy o instynkcie, ale też o rozwadze i pojętności. Gdzie tylko bóbr znajduje warunki korzystne, żyje w towarzystwie, tworzy osady z pojedyńczych budek złożone, prawdziwych arcydzieł sztuki ciesielskiej i murarskiej. Wybór miejsca, przygotowanie materyałów, tamy, budki, świadczą o wielkiej pojętności. Odzywają się głosy, że bóbr tylko z przyrodzenia jest towarzyskim i budowniczym, że ślepo posłuszny naturze inaczej żyć nie może. Zdanie to dzisiaj nie ma znaczenia, skoro bobry europejskie przyjęły sposób życia zupełnie od-

mienny Tępione nielitościwie, opierały się długo swą przezornością, musiały jednak w końcu uledz. Życie towarzyskie stało się niebezpiecznem, rozproszyły się więc, pojedyńcze rodziny chronią się dziś w skałach nadwodnych, lub tamach rzecznych. Bóbr zmienił więc obyczaje, budowniczy został górnikiem, a zmiana ta wynikła tylko z jego intelligencyi. Do ogrodu botanicznego przywieziono cztery bobry, i umieszczono je w obszernej skrzyni, mającej wyjście na brzeg wody. Zabrały się zaraz do zabezpieczenia mieszkania i ochrony od wpływów powietrza. Powyrywawszy darń z trawnika, zaniosły ją na wierzch skrzyni, i ułożyły dach, po którym woda mogła spływać, i który chronił od zimna i gwaru. Czyż to nie jest stwierdzeniem rozmyślności? *(Menault)*.

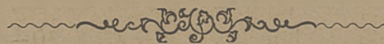
Dosyć liczne mamy podania odnoszące się do budowy domów czyli bud bobrowych. Dr. J. Godman opisuje budowy bobrów amerykańskich w tych słowach: „Obierając miejsce do budowania uważają bobry, by w niem woda nigdy do dna nie zamarzła, a gdy nie mogą znaleść dość głębokiej, biją tamę, któraby odpływ wody wstrzymywała. Tamę tę robią z pni i gałęzi cieńszych drzew. Na początku lata ścinają już drzewa do budowli, a około środka lub przy końcu Sierpnia biorą się do budowy mieszkania. Ścinają czasem pnie do 8 cali w średnicy grube, a 5 do 6 cali widzieć można bardzo często. Tak sobie w tej robocie postępują rozważnie, iż zawsze drzewo ścięte spada na wodę, i może być spławione tam, gdzie im potrzeba. Widząc niekiedy wiele pieńków drzew w bliskości ich tamy, rozumiałby kto, że tu ręka ludzka była czynna. Kształt chat bobrowych bywa różny stosownie do okoliczności, i tak np. prowadzą je prosto do góry, gdy około nich rzeka płynie wolno, przeciwnie nachylają zaokrąglony jej wierzchołek ku wodzie, gdy jej prąd jest szybki, kloce i gałęzie spajają gliną i przekładają kamieniami. Gdy z czasem ostatnie osiądą, gdy z klocków i gałęzi puszczą się korzenie, gdy się wszystko razem powiąże, wtedy budowa taką ma moc, iż jej woda szkodzić nie może i całość porządnie wygląda. Podobnym także sposobem budują i urządzają sobie mieszkania, a zawsze ze względem na liczbę mieszkańców, zimę w nich przepędzać mających. Układają na krzyż gałęzie, gdzieniegdzie i kamienie, uważają, aby we środku pozostała zawsze próżna przestrzeń, aby ją otaczały gładkie ściany, dla tego starannie odgryzają sterczące w środku gałęzie. Wszystkie materyały znoszą w przednich łapach. Widać także częstokroć słomę lub trawę w ścianach tej budowli. Szeroki ogon służy im za pion do prostopadłego prowadzenia ścian i za kielnię murarską, często bowiem klepią nim i gładzą. Całą tak zbudowaną chatę pokrywają zewsząd rozrobioną gliną, która gdy przemarznie, większej jeszcze nabiera mocy. Bicia ogonem nawet w niewoli bóbr nie zapomina, chociaż wtedy żadnej nie ma tego potrzeby. Budowle z czasem tak tężeją, iż bez żelaznych narzędzi zburzyć ich nie można, i nikt się temu dziwić nie będzie, gdy zważy, że stożkowate zasklepienie wierzchu 4 do 6 stóp bywa grube. Wejście urządzają zawsze z pod wody, i jak najdalej od lądu. Do budowy chaty zabierają się te tylko bobry, które w niej mieszkać chcą przez zimę, a więc tylko członkowie rodziny, tamę zaś biją wszystkie wspólnie, bo ta ma służyć dla dobra całej osady. Ponieważ nieustannie są prześladowane i tępione, więc i na amerykańskich rzekach zdarzają się pojedyńczo żyjące bobry, które już nie budują, ale mieszkają w wygrzebanych przez siebie jamach, uciekają do nich, gdy są we właściwych im mieszkaniach napastowane.

Wood podaje budowę tam czyli grobli w tych słowach: „Że bóbr buduje groblę, jest zdawna wiadomo, nie tyle wszakże, jak buduje. Gdy znajdzie drzewo odpowiednie na ten cel, siada podnosząc się i wygryzając zębami rynnę w okoły drzewa, potem rozszerza rynnę, ogląda starannie drzewo w koło, a upatrzywszy stronę, w którą ma paść, podgryza z przeciwnej. Rozcina drzewo na kawałki trzech stóp długości, a każdy na kończynach zaokrągla i u góry zaostrza nieco. — Niektórzy twierdzą, że bóbr nie buduje grobli, że tworzy się ona z kloców spuszczonych w wodę po ogryzieniu kory. — Mylne to mniemanie, grobla zawsze tam się znajduje, gdzie ona potrzebną, a kształt grobli stosuje się do siły wody, gdy słaba, to tama poprzeczna, gdy silna, łukowata. Niektóre są 70—100 stóp długości, a 10—12 grubości. Kloce kładą poziomo, i pokrywają je kamieniami i ziemią. Zdanie o przypadkowości grobli o tyle prawdziwe, że zbudowana przez bobry grobla wstrzymuje wszystkie napływające przedmioty, które groblę rozszerzają. Z czasem staje się grobla tak silną, że rosną na niej drzewa, których korzenie wzmacniają ją. Zbudowana grobla jest najwięcej 3 i pół stóp szeroka po nad wodą, napływy rozszerzają ją“.

Liczne zresztą są podania badaczów o bobrach, ich życiu i obyczajach. Z podań tych możemy mieć o tem jasne wyobrażenie. Po dojrzałej rozwadze wybierają bobry rzekę lub strumień, których brzegi dostarczają im obfitego żeru i dogodnego materyału do budowy nor, tam i domów. Samotnie żyjące mieszkają w prostych, podziemnych norach jak wydry, rodziny budują zwykle domy, a w potrzebie tamy, by wodę utrzymać w równej wysokości. Nory mają jeden lub więcej otworów wchodowych, które są rozmaitej 2 do 6 metrów długości, i wychodzą wszystkie pod wodę, a wiodą do obszernej, mniej lub więcej wysokiej, nad wodą leżącej komory, starannie i często drobno pociętemi drzazgami wypełnionej, służącej za sypialnię, a wyjątkowo dla położnic. W ustronnych i cichych lasach używane bywają podziemne nory jako schronienie w ostateczności, a mieszkaniem bobrów są ponad ziemią wzniesione domy czyli budy, do których wiodą w głębi wody zakończone krużganki. Domy są to pagórkowate stosy o grubych ścianach, zbudowane z kawałków drzewa i gałęzi, ziemi, gliny i piasku, w ktorych wnętrzu znajduje się prócz komory mieszkalnej także spichrz z zapasem pożywienia. Gdy wody rzeki lub strumienia w ciągu roku często opadają, lub gdy nie mają dostatecznej głębi, to wznoszą bobry mniej lub więcej wysokie i długie, w miarę prądu silne tamy, i tym sposobem tworzą pożądanej głębokości i objętości wody. Morgan badał niedawno w niedostępnych lasach północnej Ameryki wiele takich tam, fotografował je, i opisał obszernie w osobnem dziele o bobrach i ich budowiskach. Niektóre z tych tam mają półtora aż do dwóchset metrów długości, dwa do trzech metrów wysokości, na dnie cztery do sześciu, u góry jeden do dwóch metrów grubości. Składają się z grubych jak ramię, jeden do dwóch metrów długich drzew z jednej strony w ziemię utkwionych, z drugiej sterczących w wodzie, spojonych pręciem, zbitych trzciną, mułem i ziemią tak, iż po stronie prądu wody prawie prostopadła, silna ściana się wznosi, z drugiej zaś strony szkarpa się tworzy. Nie zawsze stawiają bobry tamy w prostej linii w poprzek wody, a urządzają je zwykle tak, iż w środku tworzą wodołom, i wiodą je częstokroć w wygiętym ku dołowi łuku przez wodę. — Z zbiorników wody utworzonych przez wzniesienie tamy, urządzają kanały czyli krużganki, aby przez nie łatwiej

przedmioty potrzebne do budowy lub pożywienia przyciągnąć lub też spławić. Tylko w ostateczności opuszczają bobry swe osady, można przeto w niedostępnych lasach znaleść żeremie bardzo stare. Agasiz badał tamę zamieszkałego żeremia, widział, że stare przez bobry obdarte pnie i gałęzie były warstwą torfową na trzy metry wysokości obłożone, i wnioskował stąd, że owa osada do tysiąca lat istnieć musiała. Budowiska bobrowe, jak tenże badacz twierdzi, nie mały wywierają wpływ na zewnętrzne ukształcenie pewnej okolicy. Tamy przeistaczają małe strumyki, pierwotnie swobodnie ciekące w cieniu głębokich lasów, w pasmo stawów, z których niektóre zajmują 40 akrów przestrzeni. W pobliżu ich powstają z powodu wycinania drzew przez bobry golizny tak zwane halawy bobrze, dwu lub trzechset akrów rozległości, które w owych dziewiczych lasach tworzą jedyne jaśniejsze miejsca. U brzegów tych stawów rozrastają się szybko rośliny torfowe, i ztąd wytwarzają się z czasem mniej lub więcej daleko rozciągające się torfowiska.

(Ciąg dalszy nastąpi).



O CIETRZEWIU

PRZEZ

Wacława D.

Wraz z nielitościwie wytrzebionymi lasami ubyło niesłychanie wszelkiej zwierzyny, nie mówię już o czworonożnej, ale i skrzydlatej coraz mniej. Głuszce rzadkością dzisiaj, słyszę, że w Stryjskiem rokrocznie jakąś tam sztukę ubiją, w Tatrach również się mają znachodzić; cóż to jednak znaczy w porównaniu z tem, co było dawniej. A przecież nie wiele więcej, jak pół wieku temu, były nietylko w Stryjskiem, ale i w nizinach, a w nadwiślańskich lasach echo nieraz z wiosną daleko roznosiło miłośne nawoływania tokującego koguta; cóż kiedy dziś na dziesięcio-milowej przestrzeni nie wielebyś narachował takich drzew, na którychby ten król kuraków mógł wygodnie na tokowisko zasiąść! Na szczęście przecież został nam jego pobratymiec, cietrzew, którego jeszcze dzisiaj w niektórych okolicach w znacznej dość liczbie spotkać można. W górach naszych jest go niewiele, w lasach wschodniej Galicyi również rzadki, ale w Wielkiem Księstwie Krakowskiem, a w szczególności w powiecie Chrzanowskim można go jeszcze obecnie w licznych stadach spotkać. Wprawdzie kto polował na ptaka tego na Polesiu, nad Narwią, lub jeszcze dalej w rosyjskich guberniach, temu ilość cietrzewi w naszych lasach wcale nie będzie się zdawała imponującą; mając jednak tylko Galicyą na względzie, śmiało twierdzić mogę, iż cietrzew w Chrzanowskiem nie należy do rzadkiej zwierzyny. Istotnie znajduje on tu warunki do licznego rozmnażania się. Lasy okoliczne dla gospodarza i przemysłowca smutny przedstawiają widok, bo wycięte prawie do szczętu, ale w miejscu sosnowego starodrzewu rośnie wcale bujno młódź tworząc gęste zagajniki, znakomite schronisko dla wszelkiej zwierzyny. Ziemia w lesie licha, piasczysta, ale porosła wrzosami i brusznicą, bydło nie znajdzie tam paszy, więc wszelki ptak i zwierz ma spokój, w wilgotnych wreszcie nizinach dość brzozowych i olchowych gajów, których pączki dostarczają cietrzewiowi dostatecznego żeru zimową porą. Dowodem ostatecznie znacznej liczby cietrzewi w powiecie Chrzanowskim jest wykaz urzędowy ubitej zwierzyny w Galicyi umieszczony w Styczniowym Nrze „Łowca“ b. r. Zapewne nie jest on dokładny, bo nim przy dzisiejszych warunkach być nie może, w przybliżeniu jednak podaje on ilość ubitych cietrzewi w Chrzanowskiem w r. 1876 na 139, o wiele zaś w tyle pozostają inne powiaty, bo tarnopolski wykazuje liczbę 49 inne jeszcze mniejszą. Ilość podana jest z całą pewnością za niską i obejmuje prawie same koguty, gdyż kur mało się tu strzela, a właściwiej wcale się strzelać nie powinno.

Z kolei rzeczy powinienem przystąpić do opisu cietrzewia, sądzę jednak, iż to niepotrzebne, wątpię bowiem, aby ktokolwiek z myśliwych nie znał tego ptaka, choć z drugiej strony z żywym zapewne nie każdy mimo chęci miał się sposobność spotkać. Przejdę przeto do opisu jego życia i sposobów polowania na niego.

Cietrzew jest ptakiem leśnym, ale wysokopiennych lasów nie lubi i mało w nich przebywa, woli zarośla, młode zapusty, byle były poprzerzynane łączkami. Gdy las młody, idzie w górę, przenosi się do kultur. Odnosi się to szczególnie do lasów sosnowych, które wybujawszy na gruncie piasczystym, istotnie żadnej ochrony nie dają zwierzynie, bo tu na nagiej ziemi nawet wrzos róść nie chce. Stąd to w rewirach niektórych, gdzie przed 20 laty dużo było cietrzewi, dziś ich prawie nie ma, choć ich nie tępiono; same się wyniosły, lub wyginęły straciwszy warunki bytu. W lasach Chrzanowskich, póki one się składały z starodrzewu sosnowego, cietrzew był rzadkim, dziś gdy starodrzew wycięto a natomiast zapust młody bujnie się rozrósł, obficie się rozrodził. Nie trzeba jednak myśleć, iż cietrzew odbywa dalekie wędrówki, wyszukując dogodnych dla siebie miejsc, przeciwnie trzyma się stale rodzinnej kniei. Kilka tylko razy widziałem pojedyńcze koguty wysoko ciągnące ku lasom na Szląsku pruskim położonym. Na pola cietrzew nie rad wychodzi, jeszcze na hreczanych przyleśnych łanach przy zachodzie słońca lub przed wschodem można go spotkać, i to nie dalej jak kilkaset kroków od lasu, wtedy jest nadzwyczaj ostrożny, nigdy nie pozwoli myśliwemu na strzał się przybliżyć. Zato na łąkach leśnych często gości. Wcześnie rano stadko wysuwa się z gąszczu i nurkując trawą, biega za żerem lub jak kuropatwy razem spoczywa, przy najmniejszem jednak niebezpieczeństwie już jest na nogach lub skrzydłach, szybko uchodząc do lasu. Żer cietrzewi stanowią owady, nasiona, jagody, młoda trawka, a zimową porą pączki brzeziny, olchy i leszczyny. Objada on się tak owymi pączkami, iż gdy wzlatuje z drzewa, wyraźnie widzieć można wydęty jego nadmiernie gardziel. Przy takiem różnorodnem pożywieniu nie braknie mu o żadnej porze żeru, na zimno zaś jest najwytrwalszym z naszej lotnej zwierzyny. Zimową porą, gdy śniegi wielkie zalegną, wkopują się weń, zlatując tylko o wschodzie słońca i ku wieczorowi gromadnie na brzozy lub olchy, aby się nakarmić. Czy pączki drzew tych, jeśli są powłoką lodową okryte, podobnie im szkodzą, jak jarząbkom pączki leszczyny, nie mogę wiedzieć, nigdy bowiem nie zauważałem ociężałości

*

cietrzewi, choć bardzo były objedzone. Cietrzew przeto niepotrzebuje takiej opieki w zimie, jak kuropatwa, byle tylko tępić drapieżce, do których w pierwszym rzędzie lis należy, bo jastrząb dla nich bardzo groźnym nie jest, oszczędzać przytem kury, a można się spodziewać obfitego rozmnożenia tego pięknego ptaka.

Najbardziej interesującym jest cietrzew na toczku. Na wiosnę, równocześnie prawie z ciągiem słonek, rozpoczyna miłosne igrzyska. W porze tej jest on najpiękniejszym. Kogutowi nabrzmiewają nad górnemi powiekami korale ślicznie czerwonej barwy, złożyne z drobnych mięsistych wyrostków, pióra nabierają stalowego połysku, narasta pęk białych, miękich podogonowych piór, jednem słowem przedstawia nam się w prawdziwej szacie godowej. Cieciórka nie zmienia ubarwienia, ruchliwszą jest tylko, jak zwykle. Jestto prawdziwą rozkoszą nie tylko dla myśliwego, ale dla każdego miłośnika przyrody obserwować toczek cietrzewi.

Ileż razy całą godzinę przypatrywałem się grającemu kogutowi, nim do niego strzeliłem. Ale aby się tokowisku dobrze przypatrzyć, trzeba wstać raniej od skowronka i mieć cierpliwość, to też na toczek wybierają się myśliwi, którzy nie uważają ten dzień za najszczęśliwszy, w którym zabiją kilka tuzinów sztuk zwierzyny, ale ten, w którym najmilsze odnieśli wrażenie. A na tokowisku nie trudno o to. Ileż to powabu ma pogodny świt wiosenny, jak miło być świadkiem budzącego się z uśpienia życia. Bo w lesie, choć przysłowie powiada, że tam głucho, w istocie tak nie jest, w zimie czasami, ale nigdy na wiosnę. Na leśnych łąkach, na które cietrzewie na tokowisko zlatują, odzywa się krzykliwa czajka, to znowu szarak z nocnej paszy wracając, stanie słupkiem nadsłuchując, na przykopie odezwie się kaczor, z pola dolatuje ranna pieśń skowronka i wabienie się kuropatw. A koncert ten odgrywa się *crescendo* ku wschodowi, później przycicha, choć nie milknie, aż późno wieczorem. Kto więc lubi naturę, będzie z takiego poranka zadowolony, choćby z bardzo skąpym plonem do domu powrócił. Po tem zboczeniu wracam do przedmiotu.

Na św. Józefa, jeśli zaś ranki chłodne, później nieco, poczynają grać cietrzewie. Z początku słabo, po kilka minut zaledwie, zmieniając miejsce ustawicznie, gdy się powietrze ocieplí, co zwykle się dzieje u nas dopiero około połowy Kwietnia, grają długo, są prawdziwie zacietrzewione i choć czują przeciągające cieciórki, nie ulatują za niemi, jak w pierwszych dniach toczka. Na miejsce gry obierają łąki leśne, wyręby, na drzewo siada kogut wtedy na grę, gdy szron lub deszcz oziębił ziemię. Już z wieczora, jeśli noc ma być pogodną, przyleci kogut na wybraną łączkę, pobełkocze czas jakiś i odlatuje w las, aby nazajutrz na tem samem miejscu rozpocząć miłosne gruchanie. Przyleciawszy przed świtem, nasłuchuje chwilkę, potem skrzydłami i z krtani wydobywa głos syczący, podskakując przytem ciągle, korale mu nabiegają krwią, coraz częściej powtarza przeciągły syk, wreszcie rozpostarłszy pionowo esowato wygięte pióra ogonowe, spuszcza głowę w dół, wydyma gardziel i poczyna bełkotać.

Głos jego, choć z bliska wcale się głośnym nie wydaje, przecież przy spokojnym poranku słychać daleko i łudzi nieraz niewprawnego myśliwca. Tokujący cietrzew przymyka i otwiera oczy szybko na przemian, co tylko z bardzo bliska można zauważać po migotaniu się dolnych powiek, które są białawe i nie pokryte pierzem, przez co stają się wybitnemi przy lśniąco-czarnej głowie i purpurowych koralikach nad oczkmi. Jeśli nadleci więcej kogutów, rozpoczyna się walka, uderzają na siebie włócząc skrzydłami po ziemi jak indyki, nie walczą jednak zbyt zapalczywie, co najwięcej utracają zapaśnicy po kilka piórek. Najstarszy kogut zwykle bywa zwycięzcą, młodsze jednak nie opuszczają pola walki, ale odleciawszy o kilkadziesiąt kroków gra każdy, wabiąc cieciorki, które to po nad nimi przeciągają, to usiadłszy na pobliskich drzewach gdakają. Kogut słysząc ich głos, coraz głośniej bełkoce, coraz częściej podskakuje, wreszcie udaje mu się zwabić ku sobie kurę, poczyna za nią uganiać, ostatecznie zyskuje jej łaskę rycerską swoją postawą i przemawiającem zapewne do jej serca bełkotaniem. Na drugi dzień na tem samem miejscu ten sam kogut powtarza swoje harce, a trwają one około trzech tygodni, od świtu do 7ej niekiedy 8 godziny rano. Raz obranego tokowiska tak stale się trzyma, że wraca na drugi dzień, choćby w poprzednim był strzałem spłoszony, dzieje się to jednak wtedy, gdy już na dobre grę rozpoczął, a zatem mniej więcej w drugiej połowie Kwietnia. Jeszcze kogut tokowiska nie ukończył, gdy kura już się nieść poczyna. Miejsce na gniazdo wybiera na piasczystych wzgórkach, wśród gąszczów, na grobelkach przykóp leśnych i tu na skąpej podściółce składa 8—12 jaj. Są one cokolwiek mniejsze, niż kury domowej, bardziej podługowate, rdzawego koloru, ciemno upstrzone. Wysiaduje je sama, kogut jej nigdy nie pomaga, gdyż ten podobnie jak domowy w porze godowej ma nieokreśloną liczbę małżonek, o których bardzo rychło zapomina i letnią porą wiedzie samotny żywot, kryjąc się po gąszczach, szczególnie w Lipcu, gdy się pierzyć zaczyna. Młode wykłuwają się po 21 dniach i jak inne pokrewne im kuraki biegną zaraz za matką, która im daje edukacyę, ograniczającą się naturalnie do wyszukiwania żeru i unikania niebezpieczeństw. Po pięciu tygodniach już są w stanie podlatywać a w Sierpniu są już w zupełnej sile. W tym miesiącu pierzą się młode po raz pierwszy i można już odróżnić kogutka od kury, poprzednio zaś były wszystkie rdzawego koloru. Pomimo, iż siłę lotu posiadają w zupełności, przecież o tej porze dosiadują twardo, a wypłoszone czepiają się gałęzi najbliższych drzew. Najłatwiejsze przeto na nich w Sierpniu polowanie, przy dobrym psie nawet strzelba niepotrzebna. Pamiętam raz gajowy z pomocą legawca schwycił dwa młode, ale już zupełnie wyrośnięte cietrzewie, na drugi dzień złowił ośm również bez strzału, a kogutki miały już korale i dobrze zagięte boczne sterówki. Naturalnie tego sposobu polowania pochwalić nie można, niszczy się bowiem całe gniazda ptaka, który i tak u nas jest rzadkim w stosunku do obszarów leśnych. W późnej jesieni zbierają się cietrzewie w wielkie stada, nieraz po kilkadziesiąt sztuk liczące i przez całą zimę trzymają się razem. Często można widzieć stada z samych kogutów lub z samych kur złożone. Nieraz kohoty jak stado kruków obsiędą brzozy, a nęcący to widok dla myśliwego, podejść ich jednak bardzo trudno, na najmniejszy bowiem szelest zrywają się gromadnie i zapadają w gąszczach. Na wiosnę rozlatują się, lecz nie parami jak kuropatwy, i dzień przesiadują ukryte i spokojne, rankami głośne na toku.

A teraz przechodzę do krótkiego opisu sposobów polowania. Na większych polowaniach nie przepędza się umyślnych gonów na cietrzewia, bo jako płochy zawsze wylatuje na kilkadziesiąt kroków przed nagonką, ale na leśnej przecince nie łatwy jest do strzału z powodu bystrego lotu. Chcąc umyślnie polować na cietrzewia, używamy stosownie do pory roku trzech sposobów. W Sierpniu i w początku jesieni poluje się z wyżłem, pomagając sobie wabiem, w zimie na cienie, z wiosną strzela się koguty na tokowisku. Z psem polowanie bardzo proste i nie potrzebuje opisu, aby strzelać na cienie, urządza się je w następujący sposób. Trzeba sobie poprzednio z ka-

wałków czarnego sukna lub miękiej skóry stosownie przykrojonej powypychać bałwanki, kształtem podobne do cietrzewia, a umocowawszy takowe na żerdce, przywiązuje się na wierzchołkach drzew w tych miejscach, gdzie cietrzewie mają przelot. Cienie powinne być nieco większe od naturalnej wielkości ptaka, aby przelatujące cietrzewie łatwo spostrzedz je mogły. Przygotowawszy to wszystko, zasiada myśliwy w stosownej odległości, bądź w urządzonej z gałęzi budzie, lub ukryty w gąszczu. Cietrzewie przelatując złudzone cieniami, nadlatują niekiedy gromadnie i usiadają na drzewach, strzał więc pewny i łatwy. Sposób ten tę ma jednak niegodność, iż myśliwy musi mieć wiele cierpliwości, która nawet nie zawsze bywa nagrodzoną, zresztą wyczekiwanie na mrozie nie każdemu służy. Pewniejszy się osięga skutek, jeśli znając dokładnie przelot i żerowiska cietrzewi, ustawi się tam kilka cieniów, a w gąszcz wyśle się nieliczną nagonkę, która cicho idąc cietrzewie wypłasza, a te zwykłą drogą ciągnąc trafią na cienie i obok nich usiądą. Mówiąc o zimowem polowaniu wspomnę jeszcze, iż na podjazd także się wyjeżdża z dobrym skutkiem. Chociaż bowiem cietrzew jest nadzwyczaj ostrożny i pieszemu myśliwemu bardzo rzadko da się podejść, to jednakowoż na wózku można się do niego na strzał przybliżyć. Unikać tylko powinni siedzący na wózku lub w sankach zbyt żywych poruszeń i jaskrawego ubrania. Najlepszy ubiór biały kożuch lub wieśniacza sukmana. Jeździ się koło brzozowych i olszowych gajów, zwykłych zimowych żerowisk cietrzewi. Wszystkie sposoby polowania wyżej opisane nie mogą się przecież równać co do przyjemności z polowaniem wiosennem, t. j. na tokowisku. Opisałem już w swojem miejscu te igrzyska godowe, ograniczę się teraz tylko wzmianką o sposobie urządzania polowania, które z pewnością nie wymaga tyle trudu, jak polowanie na tokującego głuszca. Aby z pomyślnym skutkiem polować, trzeba przedewszystkiem wypatrzyć czyli wysłuchać miejsce gry. Leśna służba powinna baczyć, czy wieczorem wychodzą koguty na leśne łąki. Jeśli się go tam zobaczy i to grającego wieczorem, należy wyjść wczas rano i zdaleka nadsłuchując uważać, czy gra na tem samem miejscu. Wystrzegać się należy wszelkiego płoszenia ptaka, bo w początku gry płoszony nie gra stale i praca wysłuchiwania bywa zwykle straconą. Jeśli się koguta przez dwa lub trzy ranki na tem samem miejscu tokującego widziało, można stawiać budkę. Robi się ją z gałęzi zielonych, winna być wygodną, aby myśliwy swobodnie do strzału mógł się złożyć, tylko nie zbyt wielką i budowaną z jakimiś architektonicznymi planami, bo takie choć wygodne i piękne dla oka, ale ptaka straszą i nie odpowiadają celowi. Ja robię budki w ten sposób, iż kilka sosenek z trzebieży wziętych, gałęzistych zatykam w ziemię, nachylając je wierzchołkami ku sobie, otwory pozostałe zasłaniam drobnemi gałązkami. Budka taka nie zwraca uwagi i nieraz zdarzało mi się, iż cietrzew siadał na niej i poczynał tokować. Nie ma wprawdzie wtedy czego winszować myśliwemu w tej budce siedzącemu, szczególnie jeśli nie posiada dość zimnej krwi i chwilowej z konieczności obojętności na skrzydlatego sąsiada. Strzelić trudno, bo najmniejszy ruch spłoszyłby ptaka, choćby wreszcie i strzelił, nie miałby co podnosić. Mam świeżo jeszcze w pamięci taki wypadek niewytrawnego myśliwego, który strzelił do cietrzewia grającego mu nad głową na budce, naturalnie rozbił go w puch. Widząc, iż głupstwo zrobił, wyskoczył z budki, pozbierał szczątki nieszczęśliwego koguta i schował w torbę, a przed towarzyszami wolał się przyznać do pudła, niż do tak pięknego strzału. Niestety w czasie tego aktu śledził go ktoś, który jednak umiał być dyskretnym, choć wykrycie w torbie *corporis delicti* pownoby było zabawiło towarzystwo. Najlepiej więc nie ruszać się w budce, a cietrzew po niedługim czasie zleci na ziemię. W ogóle wszyscy niewytrawni myśliwi lub pierwszy raz polujący na cietrzewie w tem błądzą, iż zaraz składają się do cietrzewia, skoro tylko usiądzie w pobliżu budki. Znający zaś naturę ptaka wiedzą dobrze, iż cietrzew jest nadzwyczaj ostrożny, gdy usiądzie na wybranem tokowisku, słucha chwilę, zacząwszy nawet grać, ucina ciągle, nie widząc dopiero i nie słysząc nic podejrzanego, na dobre tokować zaczyna. Na początku najlżejszy szmer go spłoszyć może, pospieszny strzał również nie jest pewny, bo prawie po ciemku, wtedy się można także pomylić w odległości, cietrzew zdający się być blisko jest znacznie dalej. A zatem kto nie chce sobie robić potem wyrzutów, iż spłoszył przedwcześnie cietrzewia, niech cierpliwie czeka, aż dobrze grać pocznie, podwójną wtedy odniesie korzyść, może się dokładnie przypatrzyć grze i na pewne strzelić, gdy już słońce zejdzie, wtedy częstokroć chybiony strzał nie spłoszy ptaka. — Mówię to z własnego doświadczenia i na wiele takich wypadków patrzałem. Zacietrzewienie takie obserwowałem szczególnie u starych kogutów. Jeden z moich towarzyszy, wielki gorączka w rzemiośle św. Huberta, strzelał z budki raz po raz cztery razy bez skutku do starego tokuna, kogut nie uleciał i nie wiem ile razy jeszcze byłby go pozdrawiał salwami i budził ranne echo, gdyby mu nie zabrakło ładunków.

Wrazie pomyślnego strzału nie powinno się zaraz wychodzić z budki, może bowiem drugi kogut nadlecieć.

Wiele jeszcze uwag mógłbym nadmienić, tyczących się polowania na cietrzewia, zaczerpniętych z własnego doświadczenia, streścić się one jednak dadzą w jednej cennej maxymie dla każdego myśliwego, t. j. że trzeba mieć cierpliwość i nie spieszyć się zbytecznie.

Na tem kończę, oświadczając gorące pragnienie, aby się zajęto pielęgnowaniem i rozumnem oszczędzeniem cietrzewia. Hodowla jego nieporównanie mniej wymaga zachodu i kosztów, niż bażantów, dla których nieraz z Czech lub Niemiec opiekunów sprowadzają, jakoby oni tylko znali tajemnicę karmienia piskląt.



KORESPONDENCYE.

Szanownemu korespondentowi „Łowca“ o drapieżności i niszczeniu zwierzyny łownej przez kota, oddaję wszelką słuszność. Wiadomą to bowiem jest rzeczą każdemu z myśliwych, że koty naszych włościan prawie wyłącznie z tej zwierzyny łownej żyją. Ja uważałem, że w porze wiosennej, a jeszcze bardziej jesiennej, koty domowe włóczą się po polach. Być może, że takie same polowanie odbywają i w lecie, i że wysokie trawy podrosłe i zboża osłaniają je przed wzrokiem, ja je jednakże szczególnie w jesieni widywałem. Z jaką to cierpliwością siedzi kot skulony w bruzdzie lub w ściernisku ocze-

kując swej ofiary, jak ostrożnie podkrada się pod ptactwo na polu. Czasem czatuje na drzewach na zasiadające ptactwo. Ja widziałem takiego kota czatującego na drzewie, a tak się był przyczaił do konara, że go ledwie odróżnić można było, gdyby nie mój pies, który osobliwszą ma pasyę do kotów, polujących samopas w jesieni, byłbym go nie dostrzegł. Ale nietylko ptactwo ginie od tego drapieżnika, w początkach Października prz. roku, kiedy zające u nas w górach zchodziły do ogrodów na kapusty, znalazł mój chłopak w ogrodzie koło domu zająca z odjedzoną głową i wyjedzonemi wnętrznościami. Podejrzywając kota o kradzież i morderstwo, udałem się tam z strzelbą. Tu pokazał mi chłopak miejsce, gdzie leżał zając, a było ono tak misternie przykryte badylami i trawą, że gdyby nie jeden skok, który nieco wystawał, byłby go nie znalazł. Spodziewając się, że kot przyjdzie do łupu swego, czekałem. W pół godziny może przyszedł ogromny kocisko, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy zająca nie znalazł. Zgłupiał, kręcił się, szukał, rozrzucał nogami murawę, którą zając był nakryty. Aby go ukarać za taką zbrodnię, posłałem mu nabój śrótu.

Kota na polu w jesieni lub wiosną nigdy nie oszczędzam. Wiem, że kot raz tylko sprobowawszy zapolować na polu, będzie ciągle to samo robił, a jaką szkodę wyrządza, nie potrzebuję mówić. Niezrównane usługi wyrządza mi mój pies gończy, który jednakże czasem mnie także do passyi przyprowadza, spotkawszy bowiem w polu kota, pędzi za nim, dokąd go nie złapie. Złapawszy ściśnie go trzy, cztery razy zębami po grzbiecie, a widząc, że kot martwy, zostawia i nie rusza. Ponieważ jednak koty często broniły się dzielnie, i nieraz mu porządnie nos podrapały, to zachowuje pewną ostrożność, i kiedy kot dognany skuli się, natenczas pies mój, jak przedtem w biegu głowę miał w dół pochyloną, tak w jednej chwili podnosi ją w górę i jednym susem skacze na kota tak, aby nogi na grzbiecie oparł, i wtedy już go żywego nie wypuści. Mimo tej zażartej nienawiści do kociego rodu, żyje z kotem w domu w najlepszej przyjaźni.

Że i psy włościańskie, a nieraz nawet i myśliwskie wyrządzają szkody, jest rzeczą nadto wiadomą. U nas na przykład w górach, gdzie każdy hucuł do trzody swej trzyma psa, można sobie wyobrazić, jakie szkody one wyrządzają, gdyby bowiem nawet nie łowiły, to ustawicznem uganianiem za zwierzyną rozpraszają ją na wszystkie strony. Takie psy całymi dniami są w lasach, w lecie na połoninach a w jesieni, kiedy bydło i owce zchodzą w doły, wśród krzaków i zarośli. U jednego z zamożniejszych gospodarzy tutejszych jest pies, który jesienią tylko zającami żyje, puściwszy się za zającem tak długo pędzi, aż go złapie. I nie tylko u tego ale jak powiedziałem u każdego z tutejszych hucułów są takie psy, a nie można temu sprzeciwić się i zabronić puszczania psów, bo są to psy, które strzegą bydło i owce od drapieżców. Trafia się często, że i myśliwego psy wyprawiają się same na polowanie. Wspomniany mój gończy sam nie idzie do lasu, a nawet niechętnie idzie z obcymi, i często ucieka od innego strzelca, jeżeli ja z nim nie jestem. Przed dwoma laty począł był w pewnej porze polować sam, a to z tego powodu. Dostałem był sukę wyżlicę, o której nie wiedziałem, że ma ten piękny zwyczaj gonienia za zającem. Ponieważ sama nie mogła pokonać zająca, namawia przeto mego gonczego do spólnego polowania. Gończym nie wiele o tem trzeba mówić. Na polowaniu szukały oboje wspólnie, dokąd zająca nie ruszyły, natenczas gończy gonił głosem, a wyżlica cichutko czemprędzej zbiegała na weksle znajome, i tam oczekiwała. Skoro zając nadbiegł, zrywała się, i jednym susem chwytała go. Potem oczekiwała gończego, aby się z nim zdobyczą podzielić, na czem jednakże źle wychodziła nieraz, bo gończy dawał jej zaledwie resztki, i dla tego później złapawszy zająca, nim gończy przyszedł, już potężny kawał zjadła. Wybierały się te psy i na sarny, trwało to tak długo, aż wyżlicę zastrzelono, poczem gończy zaprzestał także swoich wycieczek. Często także taż wyżlica, gdy widziała, że polowanie nie idzie w tę stronę, gdzie ona oczekuje, zrywała się i biegła cicho tam, gdzie gończy polował, a wiedząc, że zając naprzód idzie, starała się przebiedz gończego na kilkadziesiąt kroków, i często trafiała na zająca, który w dwa ognie wzięty, z przodu od wyżlicy, z tyłu od gończego, bywał najczęściej łowiony. Psy więc i koty psują nasze polowania. Kotom można zaradzić. Na polu tak w górach jak na nizinach bezwyjątkowo każdy kot, o każdej porze powinien być zastrzelony. Inaczej się jednak ma rzecz z psami. Na podolu, gdzie połonin nie ma, gdzie psy nie mają, że tak powiem, uprawnionego pobytu wśród lasów i pól, można w ten sam sposób jak z kotami postępować, ale niepodobna czynić to u nas w górach. Tu psy domowe mają prawną podstawę do przebywania wśród lasów, bo są stróżami trzód huculskich w połoninach od drapieżnych wilków i niedźwiedzi. Stróże owi polują nieraz na własną rękę, często tak namiętnie, że pokiereszowane nawet strzałami, nie porzucają swego narowu, Zabiwszy więc takiego psa może się myśliwy narazić na niemiłą niespodziankę zapłacenia kilkudziesięciu reńskich. Wymagać zatem chyba należy, aby owczarze psy z sobą na uwięzi prowadzili i tylko w razie koniecznej potrzeby spuszczali, a potem napowrót uwiązywali. Myśliwy powinien także i na swoje psy uważać, bo często wyprawiają się same na polowanie, a nieraz się zdarza, że świeżo kupiony pies wyprowadza na polowanie inne psy podmówione przez przybysza, który takie piękne zalety posiada.

Wspomnę jeszcze o dzikach naszej okolicy. Od połowy Sierpnia prawie po koniec Września roku zeszłego kiedy ziemniaki i trochę kukurydzy, co ją tu sieją, zebrane zostały, była jedna część wsi a raczej połowa nieustannie na nogach. Przez całą noc trwały krzyki, hałasy, trzaskania deskami, ognie paliły się, a to z powodu dzików. Lecz nie tylko tu ale i cała nasza okolica, tak górska jak i podgórska aż po Kołomyję, czuwała po nocach. U nas wyrządzały dziki znaczne szkody, huculi nie wiedzieli prawie, jak się od nich opędzić, a często nawet, już gdy zupełnie rozedniało, wyruszały na pola z lasów, i w jednej chwili cały zasób hucuła na zimę, był zniszczony. Bo też trzeba wiedzieć, że nasze łany są tak przestronne i rozległe, że na całe gospodarstwo Hucuła nie potrzeba więcej jak jeden dzień orania, a do tego porozrzucane są pola w rozmaitych kierunkach. I też nie wiele czasu potrzebują dziki do ich przebycia. Przekonałem się o tem, a przekonać się mogłem, bo w tym czasie prawie codzień formalne raporta dochodziły mnie, że tu a tu zryły dziki. Główną przyczyną u nas, dla której wyruszają w pole, są ziemniaki. Być może, że i robaki stanowią nie mniejszą zachętę, ale w gorach nie bardzoby się pożywiły robakami, których tu w kamienistej ziemi skąpo, a zresztą nie idą dziki na żer zaraz z wiosną, ale dopiero w jesieni, kiedy ziemniaki i kukurydza dościgają. Zdaje mi się, że przynajmniej u nas, głównie za ziemniakami ryją, bo na zrytych kawałkach widziałem tylko krzaki ziemniaków przeryte. Robiono też i polowania, ale te nie udawały się, na jednem z takich polowań zabiłem 2 lisy, a pobereżnik trzeciego, dziki nie pokazały się. Nieraz zdawało się, że już je mamy, że właśnie w tym miecie są, jednak w końcu zawsze niemiłe nastąpiło rozczarowanie.

Zajęcy mało było w tym roku. Częste burze, grady wielkości orzecha włoskiego, znaczne szczerby przyniosły wśród zajęcy, osobliwie młodzieży. Natomiast stan sarn był dobry, nie dostrzegłem żadnej choroby wśród nich w jesieni.

W Listopadzie r. z. pokazały się wilki u nas, wybrano się na nie z rozmaitymi przyborami śmiercionośnymi, polowano cały dzień, ale nadaremnie, żaden wilk się nie pokazał, dopiero gdy strzelcy wrócili do domu i pogónka rozeszła się, wybiegły trzy wilki z lasu na pobliskie pastwisko i porwały owce pomimo krzyku i hałasu pastuchów.

Niedźwiedzie rzadsze były, chociaż często można było usłyszeć, że tu lub w tamtej okolicy zabił wołu, jednakże, rzadziej jak w poprzednich latach. W Czerwcu miał niedźwiedź rozedrzeć babę, zbierającą jagody w lesie. Miało to się stać koło Łojowej, czy to jednakże prawda, nie wiem, gdyż mi to Huculi opowiadali, którzy często w sprawach takich przebierają miarkę prawdziwości, aby tylko coś powiedzieć o zwierzu, osobliwie gdy strzelca widzą. *C. J. K.*

Jako członek Towarzystwa łowieckiego i gorliwy czytelnik „Łowca" zapytuję Szanowną Redakcyę, czyby nie znalazła w swem piśmie czasem miejsca dla małych opisów scen myśliwskich więcej żartobliwej treści, którebym od czasu do czasu mógł dostarczać. Jako próbkę a poniekąd wstęp do owych opisów przyłączam, co następuje:

Mój Boże — jacy też to ci ludzie niesprawiedliwi niewyrozumieli! ile to krzywd wyrządzili np. krytycy ludziom przeszłych wieków, osądzając ich czyny ze stanowiska teraźniejszości, a nie przenosząc się w okoliczności i czasy, wśród których ofiary ich krytycznych zamachów żyły i działały. Ileż to niepraworości popełniają złe języki krytyków na ludziach obecnych czasów, mierząc ich zwyczaje, sposób życia i rozrywki miarą przeszłości. Weźcie oto którykolwiek numer „Łowca" do ręki, ile tam złośliwych docinków wierszem i prozą na nas biednych myśliwych polujących tylko na przepiórki i szaraki, a nie na mamuty, tygrysy i krokodyle. — Jak gdyby my winni temu, że w naszym biednym kraju nie ma hyen i lampartów, że mamut przeniósł się do wieczności. Czyż dla tego nie jestem myśliwym, że poluję na zwierzynę, jaką spotykam w mojej okolicy, a nie na ową, której w naszych stronach albo wcale nie ma, albo nigdy spotkać nie można? Dajcie mi tylko tura, a prędzej go niezawodnie trafię niż kszyka lub przepiórkę. — Zresztą nie lekceważcie tak przepiórek, albowiem zaprawdę powiadam wam, że wnucy wasi na nie polować nie będą, równie jak ja dziś na żubry i łosie nie poluję, a to z tej prostej przyczyny, że ich wkrótce wcale nie będzie. Przyjdą czasy z postępem kultury, że nawet wieść o grubszym zwierzu zaginie, a przyszłe pokolenia prawić będą o wielkich myśliwych, co to bez trwogi zaglądali w oczy lisom, szarakom i kuropatwom. Będą naówczas ludzie także polować, ale nie na jelenie, lecz jelonki, nie na krokodyle, lecz jaszczurki, a będą to jednakowoż myśliwi tak dobrzy, jak nasi ojcowie byli i my nimi jesteśmy, i nie mniejszą rozkosz sprawiać im będzie ich polowanie, bo przyroda, właściwy przedmiot rozkoszy myśliwskiej, będzie równie powabną, jak dzisiaj, i łąki pozostaną równie kwiecistemi i wonnemi i zieloność lasów nie zblednie, ani miły szmer ich przeszumi, bo wreszcie owe przyszłe karły w zawodzie myśliwskim, równie jak ich przodkowie, czuć będą potrzebę odetchnięcia po pracy, rozerwania myśli po chwilowem zrzuceniu ciężkiego brzemienia poważnych zatrudnień. Przestańcie więc szydzić z nas, upośledzonych synów równin i łanów, wy uprzywilejowane dzieci dzikich puszcz i dziewiczych lasów! Wyśmiewacie dalej nasze śniadania i przekąski, a sami nie jesteście lepsi od nas! Wymieńcie mi proszę, którego z was, coby się w puszcze, stepy lub knieje puszczał bez jadła i napoju. Z resztą od kogoż nauczyliśmy się oblewać trupa, jak nie od was. Możecie wy wypróżniać manierki nad zabitym niedźwiedziem lub łosiem, dla czegóż nie byłoby wolno nam zajrzeć do butelki, jeżeli który z nas położy trupem ptaka lub zająca. Wszak powiadają, że śmierć jest najlepszym niwelatorem, że zwłoki księcia niczem się nie różnią od trupa żebraczka! Czyżby tylko w świecie zwierzęcym miała być po śmierci jakaś skala arystokratyczna, a eksekwie huczne, które wyprawiacie nad ubitym łosiem, jeleniem lub dziką świnią miałyby być świętokradztwem i bezprawiem, jeżeli my je zaaplikujemy nad trupem zająca? *De mortuis nihil, nisi bene.* — Nie ubliżajcie zatem zwierzynie naszej i nam, którzy z pogardą smierci idziemy z nią w zapasy. Jeżeli was kaleczą postrzelone dziki i niedźwiedzie, to wiedzcie, że już kilka razy walczyłem z śmiercią dostając kszyka lub kaczkę z bezdennego błota, a byłem naocznym świadkiem, jak zając tak skaleczył myśliwego, że w skutek upływu krwi długi czas ciężko chorował.

Lecz dość już na dzisiaj tej kłótni, pomówimy innym razem więcej o naszej drażliwej kwestyi.

Jan Kornicki.

KRONIKA.



W Lipcu b. r. zmarł nagle w Syryi, dotknięty porażeniem serca, **Artur Janowski,** jeden z współpracowników „Łowca", o którym hr. L. Starzeński, jako o uczestniku wyprawy myśliwskiej, w swem tyle czytelników „Łowca" pociagającem sprawozdaniu wspomina. Przywołujemy do pamięci czytelników naszych dwie korespondencye zmarłego, umieszczone w Piśmie naszem w roku 1878. Z tych korespondencyi już jawnie się okazuje, jak zdolnego i rozmiłowanego w swym zawodzie pracownika traci nauka przyrodnicza, jak wiernego i przywiązanego syna Ojczyzna, do której ów nieszczęsny wygnaniec zawsze tak serdecznie tęsknił. Nieznane nam szczegóły jego życia, pokrywa je mgła, którą zapewne przyjaciel zmarłego nasz poeta Karol Brzozowski zechce odsłonić. Myśliwstwo traci w zmarłym gorącego zwolennika, i umiejętnego badacza. Wkrótce ogłosimy w kolumnach „Łowca" pracę jego: „O zaginionych zwierzętach".

Cześć pamięci wygnańca — rodaka!

Sołotwina 14 Września.

Wysyłam do Muzeum im. Dzieduszyckich rysia, zabitego przez pastuchów w lesie Czornym, w rewirze Hotta, do państwa Sołotwiny należącym. Tydzień przedtem ubił nadzorca lasowy Gustaw Reiss wielką starą samicę, prawdopodobnie matkę przesłanego rysia. Widziano prócz tych w tym samym lesie dwa młode rysie, które zapewne szukają matki. Gustaw Reiss strzelał także do innego starego rysia, ale go chybił. Rysicę ubił przy świeżo pochwyconej sarnie, którą do połowy już pożarła,

a której zaciekle broniła, kalecząc silnie dwa atakujące ją psy gończe, nim nadzorca nadbiegł i strzelił.

Przy tej sposobności winienem nadmienić, że w początku Czerwca t. r. sześciu ludzi na wyrębie w Hucie spostrzegli niedźwiedzicę, która podobno dwóch piastunów po drzewach łazić uczyła. Spłoszona przez owych ludzi skoczyła wraz z jednym piastunem na ziemię, i oboje umknęli. Drugi piastun wdrapał się na wierzchołek ogromnej jodły, gdzie przez kilka godzin przesiedział, oglądając się nieustannie za ludźmi, którzy nie odchodzili, lecz jednego z grona swego wysłali z wiadomością do nadzorcy lasowego. Gdy tenże się nie pojawiał, zniecierpliwieni ścięli jodłę, ubili piastuna i przynieśli mi go. *Hess.*

Za dar cenny składa Muzeum szczerą podziękę.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Kruszyński Jan.
Piechowski Franciszek.

Z nad brzegów Sanu.

Wy na dołach strzelając teraz bekasy i dubelty z przekąsem mówicie o nas góralach, że:

„A Górale nieboraki
O tej porze biją szpaki“,

co znaczy właściwie, że jako myśliwi nie mamy pola do działania, bo chyba w późnej jesieni, w porze odlotu, zjawi się u nas niekiedy błotne i wodne ptactwo, przedniuje, pożeruje i odleci. Prawda to, ale mamy i my swoją zwierzynę w tej porze roku, mianowicie kwiczoły, których liczne stada dniują i nocują na działach t. j. szczytach gór, pokrytych krzakami jałowcu. Jak u was tak też i u nas jagód wszelkiego rodzaju w jesieni już nie ma, więc skrzydlata ta rzesza chmarami zlatuje na niższe szczyty gór po żer, którego zabrakło w ciemnym lesie. Kwiczoły paszkoty i drozdy stadami obsiadają krzaki jałowcowe, chciwie pożerając jagody, których nigdy za mało, bo zawsze obrodzą. Nieleniwy łowiec na kopy nabić może tej zwierzyny. Czem dla was błota, tem dla nas te obszerne przestrzenie, porośnięte jałowcem, a zwierzyna na nich bogdaj czy nie lepsza smakiem od waszych bekasów i dubeltów, bo żywiąc się wyłącznie wonnym jałowcem, całkowicie napawa się jego żywiczno-balsamiczną wonią. Toż od dawna wynoszą górale owę zwierzynę na targi okolicznych miast a nawet Krakowa, sprzedając ją amatorom tej prawdziwie lukullusowej potrawy.

Jasionka 15 Września 1881.

Ażeby zachęcić kolegów myśliwych do staranniejszego chowu kuropatw, przesyłam Szanownej Redakcyi rezultat stosunkowo świetny na nasze Galicyjskie stosunki. Na mojem terytoryum w Jasionce i przyległej dzierżawie Stobierny i Terebuska, ubiliśmy w czasie od 18 Sierpnia do 5 Września 325 kuropatw, i to bez uszczerbku na przyszłość, bo mam przekonanie, że drugie tyle pozostało, z których obecnie pewną część będę się starał wyłapać na zimę. Do tego rezultatu doszło się staraniem zaledwie kilko-letnim, po części zimowaniem a przeważnie pilnem tępieniem na wiosnę kotów i jastrzębi.

Błotnego ptactwa w tym roku było bardzo mało, przepiórek zaś cokolwiek więcej jak w ostatnich dwóch latach.

Stan. Jędrzejowicz.

W 7 Numerze „Miesięcznika gal. Tow. ochrony zwierząt“ b. r. znajdujemy:

Do myśliwych. Przetrącanie kręgów karku postrzelonej zwierzyny *(Knicken)* jest okrucieństwem, które u prawdziwych myśliwych powinno zupełnie wyjść z używania. Zmarły Dr. Gerlach, dyrektor szkoły weterynaryi w Berlinie, znakomitość w sprawach weterynarskich, po ścisłych badaniach naukowych, wyraża się o tem w tych słowach: „Po udałem przetrąceniu kręgów żyje zwierzę jeszcze 8 minut, po nieudałem 15 minut, i dla tego jeleń lub sarna w taki sposób dobite, czują, jak żywcem wnętrzności z nich wyjmują“. — Czy nie szlachetniej byłoby drugim celnym strzałem dobić postrzelone zwierzę. Spodziewamy się, że przestroga ta trafi do serca i do przekonania myśliwych naszych.

P. R. Popieramy powyższe wezwanie głównie z tego powodu, iż operacya ta odbywa się u nas zwykle niedbale i nieumiejętnie. Najodpowiedniej jest uderzyć nożem *(abfangen)* pomiędzy czaszką a pierwszym kręgiem.

Spis ubitej w Czechach zwierzyny w r. 1880. — Jeleni 1287, danieli 1589, sarn 8057, dzików 788, zajęcy 380.568, królików 11.824, głuszców 670, cietrzewi 3460, jarząbków 468, pardw i kamionek 35, kuropatw 433.962, bażantów 33.179, przepiórek 9401, słonek 3354, bekasów 844, dzikich gęsi 296, dzikich kaczek 9164. Następnie szkodliwej zwierzyny: lisów 2453, kun 1675, tchórzów 6291, wydr 190, borsuków 243, kotów (przeważnie zdziczałych domowych, żbiki niesłychanie rzadkie) 4075, łasic 735, wiewiórek 1940, orłów 7, puhaczów 123, jastrzębi, sokołów i krogulców 36.488, wron i srok 5975. — Razem ubito 959.149 sztuk

---

W Hanowerskim: „Land-und forstw. Vereinsblatt“ mówi Heimberg-Addesen: Od dawna już badam gawrona *(corvus frugilegus)*, ponieważ tenże, jak dotąd uważałem, szkodliwym jest dla łowiectwa wyżeraniem gniazd kuropatwich i tępieniem młodych zajączków, ale też ogromne czyni spustoszenie w gniazdach ptaków spiewających. Że gawron natomiast nie jest niszczycielem myszy, przekonałem się dowodnie w r. 1878. W pobliżu znajdował się wysokopienny las sosnowy, w którym gromadziły się w jesieni tysiące wron. Pod lasem rozlegał się łan pszenicy tak mocno przez myszy podziurawiony, iż musiano w dziury powkładać truciznę, i to dosyć głęboko, aby się nią kuropatwy nie truły. Nazajutrz znaleziono w lesie mnóstwo martwych wron, a w ich żołądkach myszy, ale między niemi żadnego gawrona. Zabity następnie gawron miał żołądek przepełniony pszenicą. *Jagdzeitung.*

Witerunek na lisy. Dwie krople *balsami apoplectici*, czwarta część cebuli, kwaterka masła niesolonego, nie topionego w ogniu, lecz w nowem zupełnie naczyniu wstawionego w wrzącą wodę, łyżka miodu praśnego. Mięszaniną tą smaruje *(dzynguje)* się obielonego kota, i powłócza nim po śniegu, następnie rozrzuca się po powłoce orzeszki strychninowe. Podczas przyrządzania tego witerunku trzeba mieć ręce czyste i oddalić od siebie wszelkie mocniejsze wonie, a przedewszystkiem tytoniu nie palić. Witerunkiem tym smarowane żelaza, nawet zardzewiałe, ściągają niezawodnie lisy.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.

Dodatek nadzwyczajny do Nru 10. „ŁOWCA“. 1881.

PROJEKT USTAWY GOSPODARSTWA RYBNEGO *)

UŁOŻONY PRZEZ

Dra S. Syrskiego.

1. Prawo zajmowania się gospodarstwem rybnem w rzekach i jeziorach przysłuża właścicielom gruntów pobrzeżnych do połowy szerokości wody.

W strumieniach rozgraniczających grunta dwóch właścicieli, ma nastąpić podział strumiania na część górną i dolną w takim stosunku, ażeby obie części przedstawiały równe korzyści.

Członkowie gminy, posiadający grunta pobrzeżne, mają pod kierunkiem przełożonego gminy, połączyć się w spółkę rybacką, i wybierać co trzy lata z pomiędzy siebie pod nazwą: „rybaka starszego“ człowieka, do którego mają zaufanie. Wybór potwierdza lub unieważnia przełożony gminy, który jest obowiązanym uzasadnić swoje orzeczenie i przesłać je politycznej władzy powiatowej do ocenienia i osądzenia.

Celem spółki ma być wzajemne porozumienie się jej członków względem użycia odpowiednich środków do podniesienia gospodarstwa rybnego i co do porządku przy połowie ryb.

Zadaniem rybaka starszego jest przewodniczyć spółce w jej naradach, kierować niemi, zachęcać jej członków do gorliwego zajmowania się gospodarstwem rybnem, wspierać ich radą i czynem. Ma on także czuwać, ażeby przepisy ustawy były wykonane, zawiadamiać raz w tydzień, a w wypadkach nagłych częściej przełożonego gminy o działalności spółki i jej postępach w gospodarstwie rybnem, zasięgając przytem jego rady.

Do powzięcia uchwały spółki mymaga się większości 2/3 głosów członków obecnych. Przełożony gminy potwierdza lub unieważnia uchwały spółki, winien jednak uzasadnienie swego orzeczenia wpisać do protokołu.

Jeżeli gmina posiada na swym gruncie nieużytki pobrzeżne, to takowe powinna rozdzielić za spłatą roczną, umarzającą w przeciągu dziesięciu lat, wartość nieużytku pomiędzy tych rybaków, członków gminy, o których jest przekonaną, iż gorliwie i z dobrym skutkiem będą zajmować się gospodarstwem rybnem.

2. Uprawniony do zajmowania się gospodarstwem rybnem otrzyma od politycznych władz powiatowych kartę uprawniającą (legitymacyjną), wydaną na jego imię, z oznaczeniem miejsca jego stałego pobytu, którą winien okazać dozorcom na każde ich żądanie.

3. Nie wolno łowić ryb bez karty uprawniającej i dawać kartę drugiemu. Zabrania się łowienia ryb w wodzie drugiego.

4. Zakazuje się wprowadzać i wrzucać do wód zarybionych wszelkich odpadków z zakładów rolniczych i przemysłowych, a przedewszystkiem, jako dla ryb zabójczych płynnych odpadków, pozostających po użyciu do garbowania skór, takich trucizn, jak arszenik (siarczek arsenu), wapno i t. d.

Nie wolno wpuszczać do wód płynących i stawów zarybionych nieczystości ze ścieków, gnojówki, wody zgniłej z kałuż i sadzawek, używanych do moczenia konopi i lnu, jako też moczyć takowe w wodach płynących i stawach zarybionych.

5. Zabrania się używać do łowienia ryb dynamitu (patronów dynamitowych), bobków rybich *(coccolus)*, wroniego oka *(strychnos nux vomica)* i innych wybuchających, ryby odurzających i trujących środków.

6. Zakazuje się łowić ryby w młynówkach, zastawiać rzeki po nad połowę jej szerokości zagrodami, sieciami, płotami i tamami z kamieni.

7. Właściciele młynów powinni zapobiedz, ażeby ryby nie dostawały się z wodą na koła.

8. Nie wolno używać do łowienia ryb sieci, płótna, zwanego także tiehaniem, zapiłem, kryłciem, czekawki, saku (kłomli), zakładu, brodnika, mątnika i włoku.

9. Sieci dozwolone mają mieć oczka przynajmniej 3 cmt. średnicy. Takie same rozmiary mają być oczkowatych przestworów wierszy, lisek i płotów.

10. Zabrania się używać przyrządów i sposobów do płoszenia ryb, jako to, łancy, sklepu, bełtu, wywracania kamieni na dnie wody, rzucania tychże i uderzania wiosłami w wodę i innych ryby płoszących sposobów, jakim jest n. p. hałas rybaków.

11. Do wód zarybionych nie wolno puszczać kaczek, gęsi i łabędzi.

12. Na tarliskach zakazuje się kosić lub w inny sposób niszczyć trzcinę i inne rośliny wodne, wzruszać dno wody, poić bydło i konie.

13. Na tarliskach w czasie tarła nie wolno łowić ryb.

14. Zakazuje się łowić ryby po za tarliskami w czasie tarła:

Od Gruduia do Lutego łącznie, miętusów.

Od Marca do Kwietnia łącznie, minogów, ślizów, kózek, piskorzy, lipieni, głowaczy.

Od Marca do Maja łącznie, szczupaków, okoni,

Od Kwietnia do Maja łącznie, wyrozubów, jelców, wzdręg, płocic, rapi, owsianek, szweji, ukleji.

*) Fischerei-Gesetz.

Od Kwietnia do Czerwca łącznie, czeczug, jesiotrów, podustw, leszczy, pukasów, kiełbi, brzań, jazgarzy, czopów, sandaczy.

Od Maja do Lipca łącznie, sumów, kleni, linów, karasi, karpi, czopków.

Od Września do Listopada łącznie, łososi.

Od Września do Grudnia łącznie, pstrągów.

Ryby złowione przypadkiem w czasie tarła po za tarliskami mają być bezzwłocznie wpuszczone do wody.

15. Zabrania się łowić młode ryby, niżej 1/3 zwykłej długości. Złowione należy natychmiast wpuścić do wody.

16. Nie wolno przesyłać i sprzedawać ryb w czasie tarła i młodych.

17. Przełożeni obszarów dworskich i gmin, c. k. żandarmeryja, dozorcy policyi wodnej i komisarze policyi targowej mają czuwać nad wykonaniem przepisów ustawy i podawać spostrzeżone zaniedbania i przekroczenia do wiadomości władzy politycznej.

18. Dla nadania czynnościom rybaków kierunku wytkniętego przez ustawę, ułatwienia im spełnienia ich zadania, które polega na umiejętnem prowadzeniu gospodarstwa rybnego, dla zebrania danych, potrzebnych do poznania wód, życia ryb i innych zwierząt i roślin wodnych, dla nich użytecznych i szkodliwych, dla zaprowadzenia jedności w nadzorze i kontroli, ustanawia się **inspektora krajowego**, dodając mu do pomocy przynajmniej ośmiu od niego zależnych **dozorców rybackich**, z siedzibą w ośmiu okręgach wodnych.

Dozorca rybacki ma, przy pomocy pieniężnego zasiłku, pod kierunkiem inspektora, urządzić wzorowe gospodarstwo rybne, jako przykład dla rybaków i środek do pouczenia ich, jak mają gospodarować. Zadaniem dozorcy prócz tego jest robić spostrzeżenia, wskazane mu przez inspektora, których spisane wypadki ma co miesiąc przesyłać inspektorowi. Dozorca jest także obowiązanym, w myśl §. 0. Ustawy, spełniać te same czynności co inni dozorcy.

19. Za przekroczenia przepisów Ustawy jest odpowiedzialnym za siebie i swoich pomocników, właściciel wody, a w razie oddania wody w najem, dzierzawca.

20. Przekroczenia tej ustawy mają być karane przez władze polityczne zakazem połowu ryb przez jeden miesiąc do jednego roku, w razie niepoprawności na zawsze *).

Przybory rybackie wzbronione, użyte do łowienia ryb mają być zagrabione i zniszczone, a materyał ztąd otrzymany sprzedany. Przyrządy dozwolone, użyte do łowienia ryb w miejscu i czasie, w których to jest zakazanem, i dó łowienia ryb młodych, należy wraz z rybami zabrać i sprzedać, jeżeli te są nieżywe, żywe zaś wpuścić bezzwłocznie do wody.

Fundusz uzyskany ze sprzedaży zagrabionych przyborów rybackich i ryb ma zostawać pod zarządem Wydziału krajowego i być użytym do podniesienia gospodarstwa rybnego.

Uprawniony do zajmowunia się gospodarstwem rybnem, może z powodu jego niepoprawności, być czasowo lub na zawsze usuniętym od zajmowania się tem gospodarstwem.

Lwów dnia 15 Września 1881 r.

---

*) Ustawa o niektórych środkach ku podniesieniu rybołowstwa w wodach wewnątrz kraju. — §. 15. Przekroczenia tej ustawy i wydanych na mocy tejże przepisów. o ile powszechna ustawa karna nie znajdzie zastosowania, mają być karane przez władze polityczne grzywną od pięciu do stu złotych. — W razie, jeżeli uznany za winnego nie jest w stanie grzywny uiścić, należy ją zamienić na karę aresztu, przyczem pięć złotych należy liczyć za jeden dzień aresztu.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie, Hotel Zorża.